PIEŚNI ŻEGLARZA.

PRZEZ

Aleks. Podgórskiego.

Morze i Niebo! — Na morzum? czy w Niebie?
Przybytek Boży — jarzący się, siny:
Dwie zwierciadlane — bezbrzeżne głębiny,
Jak źrenicami obrócone w siebie:
I łódka — łódka moja samo — trzecia.

B. Zaleski. (Nieskończoność).



PETERSBURG.

NAKŁADEM AUTORA. — DRUKIEM JOZAFATA OHRYZKI.

1863.

Za pozwoleniem cenzury. — Petersburg, 16 lipca 1862 roku.

Z PIERWSZÉJ PODRÓŻY MORSKIEJ.

Było nas wielu; — na pracy, znoju,
Czynnie nam mijał błogi wiek złoty;
Piliśmy łącznie z jednego zdroju,
W przybytku prawdy, piękna i cnoty.

*

Było nas wielu, — z dala i z bliska —
Z nadbrzeży Bohu, Dniepru, Prypeci,
U rodzinnego wkoło ogniska,
Jak na głos matki zbiegłych się dzieci.

Lecz gdy zmierzając wszyscy do celu,
Każdy z nas inną pospieszył drogą:
Nikt już nie wrócił, — było nas wielu,
A dziś — nie widać prawie nikogo!

Gdzieżeśmy? — jaką losów zawieją
Życie w nas krzepnie? — bliskie starości, —

Czyśmy, jak dawniej, młodzi nadzieją?
    Czyśmy zmarnieli — aż do nicości?...

    Może... wszak drodzy, — było nas wielu —
A tyle pokus, cacek na świecie!
Tyle kłamstw w obcym i w przyjacielu,
    Tyle pozornych ponęt w kobiecie!

    Może, — lecz na cóż mam bez powodu
Najczystszą chwilę kalać zwątpieniem;
Gdy pamięć o Was, spólni za młodu,
    Dziś najchlubniejszém dla mnie wspomnieniem?

*

    Wam, nieobecni, szlę mój grosz wdowi,
Dla Was te piosnki drodzy, jedyni:
Gdyście więc piosnek słuchać gotowi,
    Przyjmcież to echo bratnie z pustyni!...

ROZSTANIE.

Nadeszła chwila, — jakże zawcześnie,
Stanowcza chwila rozstania:
Chciałbym się łudzić jeszcze jak we śnie.
Lecz los przeczący zabrania!
Chciałbym, o luba! tu, na uboczy,
— Przychodzień obcy, nieznany —
Marząc, i patrząc w twe łzawe oczy,
Wznowić mój żywot stérany.
Próżne zachcenie! — patrz, statek w dali
Pochyłe maszty swe jeży:
On mnie nazawsze jutro oddali
Od białomorskich wybrzeży.
Nie smuć się, lube dziecię północy,
Nie marnuj westchnień daremnie!
Pozostać z tobą — nie w mojéj mocy,
Bądź więc szczęśliwą bezemnie!
Płaczesz? — ach, przestań! — choć może szczérze
Twe młode serce boleje:

Lecz przestań płakać — bo łzóm nie wierzę:
Bo się, niebaczny, rozśmieję!...
Łza twa na zgasłe padnie ognisko,
Ostatki ciepła ostudzi:
Lub téż niebacznie, na pośmiewisko
Rdzawe pamiątki rozbudzi!
Te rozbudzone, na dawną nutę
Gdy jękną skargą, rozpaczą,
Rozsnują dzieje, smutkiem zasnute,
I teraźniejszość tułaczą:
Wtenczas, zlękniona dźwięków tych treści,
Oczy i serce odwrócisz;
I do zmartwiałych, dawnych boleści
Świéżą mi boleść dorzucisz!
Lepiéj więc, lepiéj — kaprys niewinny —
— Tylko się nie smuć, nie gniewaj,
Zagraj mi, droga, na ton rodzinny,
Znaną nam dumkę odśpiéwaj!
Odśpiéwaj dumkę — niech mi się roi
O kraju, tobie nieznanym;
Gdziem prześnił młodość, gdzie blizcy moi,
Gdzie, — może byłem kochanym...
— Lecz wybacz łzawa, błękitnooka
Niewczesnych wspomnień ponęcie;
Ty nie dostrzegasz jaka powłoka
Zaćmiéwa dni me zawzięcie!
Nie czujesz czém jest smutku trucizna,
Czém jest tułactwo, zła dola;

Czém jest. choć pełna wdzięków. obczyzna.
I czém są wdzięki Podola!...
Przebacz! — i nie karz skargą złośliwą,
Wyrzutem, chłodném milczeniem!
Pożegnaj piosnką rzewną, pieściwą.
Pożegnaj tkliwém wejrzeniem!
Niech twego głosu lube podźwięki.
— Pamiątki drogie, jedyne, —
Tłumią ryk fali i wichrów jęki,
Gdy ztąd samotny odpłynę.
Niech mi w dalekiéj zmiennéj żegludze
Świécą twych oczu pociski:
I niechaj roję, i niech się łudzę
Żem, — może szczęścia był bliski!!

U NORD-KAPU.

„Do kotwicy! — bo czas nagli —
Raźniéj, dziatwo, wiruj szpieniem;
Rób ochoczo, z natężeniem,
Stop!*) tak, — przytknij! — spiesz do żagli!“
— I piszczałki rozkaz głoszą:
Skrzypią bloki, trą się sznury;
A przy żerdziach, wnet do góry
Szybko żagle się unoszą,
Już płaszczyzna ich rozpięta
Pochwyciła wiatru strugę,
Statek puszcza się w żeglugę: —
I zrzuciwszy ciężkie pęta,
Rad próbuje sił niepewnych;
To kołysząc się, nagina,
To opada, to się wspina

*) Stop — wyraz hollenderski, przyjęty w ogólnéj morskiéj terminologii, (znaczy): dość, skończ, przestań.

Po spiętrzeniach fali gniewnych;
Wtém — „do drogi“! — dano hasło —
Krążą czary raz ostatni;
Wiwat! — błysnął strzał armatni,
Gdzieś u brzegów echo wrzasło,
I zamarło .... żagiel wzdęty
Pędzi naprzód — coraz chyżéj,
Brzég majaczy — coraz niżéj,
Chwila — zapadł już w odmęty!

*

Już wypłynąłem na obszar morza.
Już mi tu chęci i wola na nic:
Podemną głębie, wkoło bezdroża.
Nademną przestwór niebios bez granic.
Jakże tu głucho, jakże samotnie.
Pośród téj sennéj, nieméj natury!
Spoczęła fala — nad nią przelotnie
Szarémi kłęby snują się chmury.
Ciszą tak groźną, nieprzebudzoną
Zdrętwione wkoło wodne otchłanie,
Iż, zda się, mocą nieodgadnioną
Stał się cud jakiś — albo się stanie.
Jakże tu błogo, w uosobnieniu.
Gdy nic nie wzrusza, i nic nie nęci,

Orzeźwić ducha, co mrze w uspieniu,
I tęskną przeszłość przesnuć w pamięci . . .

*

Przeszłość? — Ach, czemuż tyrańsko, powolnie
Mam, licząc, jątrzyć mego serca blizny!
Na cóż kosztować mam znów dobrowolnie
Znaną już gorycz trucizny?

Czyż moja spowiedź temu na co zda się
Komu wciąż życie rozkoszą się śmieje,
I świat tęczuje w łudzącéj swéj krasie,
A pierś kołyszą nadzieje?

Czyliż zarysy zawodów i trudu,
Wykażą komu jaką iść ma drogą?
Czy dźwigną kogo z przesytu i brudu.
Czy będą bratnią przestrogą?

Nie! — bo kto drzémiąc marnie od powicia.
Boleść zna z książek, cierpienia z nazwiska;
Kto zawsze stąpa po trawniku życia,
Na cóż ma zwiédzać zwaliska?

Kto, gdy nań trafi i chwilkę się wstrzyma,
To wnet się cofnie. — i w trwodze dziecięcéj.

Wyrzeknie, mierząc te szczątki oczyma:
To smutne gruzy! — nic więcéj.

Ach, ten jedynie, kto dźwiga krzyż Pański,
Cudze na własne bole przeistacza:
Gdyż jego żywot, męczeńsko-kapłański,
Cierpienia wszystkich zjednacza!

*

Zerwane kwiecie, śród drogi rzucone,
Czemu przechodnia swą krasą uładzasz?
Serce, w grobowcu przeszłości złożone,
Czemu się znowu rozbudzasz?

Zmartwiałe, oschłe w srogiéj życia męce,
Czyż ci zamało przetrwanych boleści?
Jeszczeż masz ronić swe żale dziecięce,
Wydać jęk jakiś niewieści!

Wszakżem się zaparł twych wzruszeń nazawsze,
Ziębił twój zapał i łzy znienawidził;
W ciebiem kierował sam razy najkrwawsze,
Twojem zapędy wyszydził!

Przestań więc jęczéć w rozrzewnionéj nucie,
Bo gdy choć łezkę wtrącisz do powieki,

Gdy mi rozbudzisz choć jedno uczucie,
Ach. — ja cię przeklnę na wieki!

Drzém nieme w piersi tułacza, odludka,
A gdy cię gwałtem westchnienie przesili,
Lub łza rozgrzeje, czy myśl-bałamutka,
Nim zdradzisz — pęknij w téj chwili!

Stygnij . . . i niechaj strugi krwi twéj wrzącéj
Zmienią się w ślinę i żółć pełną jadu,
Przeistoczone tak fibr twych tysiące
Niech drgają śmiechem bez ładu!

Czy w koło ciebie głośna rozpacz gości,
Czy cichy smutek, czy łzy rzewne płyną,
Czy niedołężni wołają litości:
— Śmiech twoją tarczą jedyną!

Czy ci kto wrogiem, czy znęca obłudą,
Czy darzy szczęściem kobieta wybrana;
By się nie uwieść zdradziecką ułudą,
— Rozśmiéj się, — stawka wygrana!

I gdy cię kiedyś cios nagle ugodzi,
Pierś zlodowaci śmiertelnym oddechem;
Niech ci tę chwilę zniszczenia osłodzi
Ostatnie tętno — ze śmiechem! . . .

*

Jakąż drogą mię uwiodło
Rozwichnione uniesienie!
Gdzieżeś wiaro, — życia godło?
Gdzie miłości namaszczenie?
Czyż w odrętwieniu mrzéć jak samoluby!
Czyliż w rozpaczy szukać sił do próby?

O. przepadnij ciężka zmoro.
Moc szatańska, bądź przeklęta!
Ustąp! — próżno duszę chorą
Chcesz w sromotne ująć pęta:
Ustąp! — w niéj żyje niedościgły wątek
Tych sił, co tworzą koniec i początek!

Ach! — jak tęskno tu, śród ciszy!...
W koło przestwór mgłą zasnuty;
Chciwe ucho nic nie słyszy,
Statek stoi jak przykuty;
Zda się, już nigdy słońce nie zaświeci!
Nic nigdy w życiu nadziei nie wznieci!...

Żagiel opadł ... ha! — pełnieje —
Łuska mruga po równinie;
Może téż się łódź zachwieje,
Z nienawistnéj mgły wypłynie,
Może pomyślny wiatr w końcu zawita,
Może ból przejdzie — i radość zaświta!...

Wiater tężeje, — po gładkim grzbiecie
Muska śpiącego olbrzyma;
Gniewnie kłębami tumanu miecie,
Potrąca falę i wzdyma.
Statek się otrząsł z długiéj niemocy,
Pierś swą spragnioną rozszerzył,
I rączo pędzi wciąż ku północy,
Bliżéj lapońskich wybrzeży.
Morze odżywa: potworów plemie
Porzuca wodne łożyska;
Delfin, nad głębią uniosłszy ciemie,
Wodotrysk mętny wyciska.
Śnieżystą smugą zdala się bieli
Ryb - białych*) liczna gromada,
Chrząka, szeleszcząc starciem swych skrzeli,
Lśni się i w nurtach przepada.
Krzykliwa czajka, szybując w dali,
To się w powietrzu zawiesza,
To utrudzona spocznie na fali,
To ku wybrzeżom pospiesza.
A brzeg ten — głuchy, martwy, ponury,
Omszony drobną jedliną;

*) Białucha—ryba, stanowiąca ważną gałęź przemysłu białomorzan, wypłynąwszy na powierzchnię wody, łączy się w liczne stada i skrzelami wydaje głośne chrząkanie.

Jednak i w smętnych farbach natury
Pierwotne wdzięki nie giną:
Jakiś nietknięty urok, dziewiczy,
Krasi ten poziom przymglony;
Złomy granitu, co pośród dziczy,
W olbrzymich bryłach spiętrzony.
Dotąd ta ziemia niepokalana
Niedolą, potem, ni łzami;
Jeszcze krwią ludzką dotąd nie zlana,
Nie przywalona gruzami.
Jakież ponęty zdobią tę ziemię
Zlodowaciałą, bezżyzną?
— Wie o têm biedne, zdziczałe plemie,
Co zwie ją — drogą ojczyzną!

Człowiek z naturą łącznie tu stoi,
Zbratany tylko z jeleniem,
Który go żywi, odziewa, boi,
Wspólnym pracuje ramieniem.
Tu wieki przeszły, nie będąc w stanie
Zmienić krainy têj losu,
Która na zawsze taką zostanie
Jaką powstała z chaosu!...

*

Płynę wciąż ku północy — ląd znika mi z oczu,
Zdala *święty Przylądek* szle swe pożegnanie;

Lecz w końcu i ten zapadł w dalekiém omroczu —
W koło przestrzeń bez granic — jestem na Murmanie.*)
Sterniku, baczność! — w prawo, u Żelaznéj Bramy**)
Nowa Ziemia i Wajgacz czatują na straży;
I chociaż te strażniki nie stanowią tamy,
Lecz rzadko kto tą cieśnią przemknąć się odważy:
Bo kogo tam uwiodła chęć zysku, zdobyczy,
Czy żądza szlachetniejsza — odkryć, wiadomości:
Ten, żywy, do żyjących rzędu się nie liczy,
A zginie, — nie odszukasz zatraconych kości.***)

Wprost, ku strefom bieguna, jeżeli zuchwały
Skierujesz twoją nikłą drewnianą łupinę:
Spotka ona lodowe, pływające skały,
Co ją zgniotą, rozmiażdżą i rzucą w głębinę.
Nie waż się świętokradzko ni myślą, ni okiem
Przedzierać świat ukryty za tą straszną miedzą;
Tu wytknięty ci zakres odwiecznym Wyrokiem —
A więc wstrzymaj się śmiałku z twą sztuką, z twą wiedzą!

---

*) Murmanem białomorcy zwą brzegową taśmę oceanu północnego — do granic Szwecyi.

**) Ciaśnina między Nową-Ziemią a wyspą Wajgacz, zapewne w skutek trudności do przebycia, nazwana Bramą Żelazną.

***) Wiadome są bezskuteczne i często fatalne wyprawy marynarzy ku strefom północnego bieguna. Nowa-Ziemia, z dawien-dawna stanowiła cel podróży wielu przedsiębierców, jakiemi byli: Uillau (w r. 1553); Barenc (w r. 1596); Fipps (w r. 1774); Bukan (w r. 1818); Ross (w r. 1818); Parri (w r. 1827); Franklin (w r. 1826); Litke (w r. 1821—23), i kilku innych. Niektórzy z nich, śród nadludzkich usiłowań, zmrożeni lub głodem pomarli.

Kieruj sterem na lewo, z dala od tych ciemnic
Gdzie włada tajemniczość nieprzejrzana, głucha:
Bo czémże byłby świat ten bez wielkich tajemnic,
Bez zagadnień, bez cudów, — czém? — ciałem bez ducha!...

*

Jak płynnie niestrudzona fala falę goni!
Łódź się zwolna kołysze w tę, to ową stronę,
I. pędząc coraz ostrzéj, za sobą ślad roni:
Niknącą długą bruzdę i kręgi wspienione.
Jak lekko pierś oddycha, jak oko weseli
Ta światłość bezustanna, *) jéj farby złociste!
Ten ogrom fibrującéj, bezbrzeżnéj pościeli.
To niebo chlorotyczne, bezgwiazdne, przejrzyste!
Duszę pokój owionął; jakaś cisza błoga
W sercu święte pamiątki wyświetla i budzi;
Myśl korna, hołdownicza owiała tron Boga,
Och, gdyby, daléj — wyżéj — od ziemi. od ludzi!...
Północ: słońce za obłok chyli się i tonie,
By wnet znowu zajaśnić w odnowionéj szacie;
By spocząwszy na falach i zwilżywszy skronie,
Znowu wznieść się nad poziom w złocie i szkarłacie.

Źródło sił życiodawczych! — musisz być ozdobne.
Jeśli cię podziwiają od wieków rodzaje:

*) Światło letnich nocy słonecznych na północy.

Musisz być okazałe — do bóstwa podobne,
Jeśli wyspiarz zdziczały cześć tobie oddaje!
A jednak ... jednak przyjdzie zniszczenia godzina.
I rozsypiesz się w pyłek nikły, śród bezładu:
Niklejszy niż ta lśniąca, śniegowa prószyna,
Co w dzień mroźny migoce — i ginie bez śladu!
Boś tylko martwa bryła, wszechświata okrucha,
Kryjąca swoją nicość pod blaskiem promieni;
Bo cię nie przeistacza promień tego ducha,
Któremu obcy zakres czasu i przestrzeni!

*

Co znaczy ruch niezwykły i cichy gwar straży?
Wszyscy spieszą na pokład, patrzą w jedną stronę;
Wyraz oczekiwania widać w każdéj twarzy,
Znać blizkie widowisko, z dawna upragnione.
Jakiż to drobny punkcik szarzeje tam, w dali,
Zasnuty przezroczystą sinawą osłoną?
To jakby się zanurza, to rośnie na fali,
Czerniejąc na tle niebios iglastą koroną?

Już wyraźniéj wystaje krzywy ząb u szczytu,
Coraz bliżéj i bliżéj — już dosięga oko
Szkic spiętrzonych, zczerniałych odłamów granitu,
— Pokłon ci niebotyczna Nord-Kapu opoko!
Strażnico Europy, przed wieki skazana

Na walkę bezustanną z niesfornym żywiołem,
Co się uległ na chwilę, pokorą szatana,
I u stóp twych zniżony, kornie bije czołem.
To kłamliwa uległość, — gdyż znów, w jedném mgnieniu,
Gotów on buntownicze prowadzić szeregi,
By uderzyć w pierś twoją i w czczém wysiłeniu,
Swym spienionym językiem przedziurawiać brzegi.
I póty gotów wściekle rzucać się i pienić
W zawziętym, rozpaczliwym strasznych sił rozwoju,
Aż twoja nieruchomość zmusi go oniemieć,
I spocząć, — by, za chwilę, znów stanąć do boju!

Biada ci, śród téj walki, żeglarzu zuchwały
Jeśli chciałbyś próbować sztuki lub przemocy!
Bo czy cię wir zanurzy, czy rzuci na skały
Zawsze zginiesz niebaczny! — nie wzywaj pomocy!
Napróżno .... — Morze nie zna litości ni łaski —
Daremnie sił nie marnuj ku życia ochronie,
Bo twoja wątła łódka rozpryśnie się w trzaski,
I nim jęknąć wydołasz — już cię grób pochłonie!...

*

Błogo, lubo, — wiatr się wzmaga,
Wiatr pomyślny — może stały, —
Tęskne twarze rozjaśniały,
W sercach radość i odwaga.

Wiatr przyjazny — to dar Nieba
Dla żeglarza-samotnika:
I gdy szparko łódź pomyka,
— Już mu nadto nic nie trzeba.

Zewsząd walą fale-góry,
Lecz ich klipe r*) się nie boi:
Bo się przemknie, bo ostoi,
Długoszyi, białopióry.
Rozwinąwszy białe szmaty,
I kołysząc się niedbale,
W natarczywym wód nawale,
Czołgający i skrzydlaty,
Kraje piersią nurt wspieniony:
I przez bezdnie, przez bałwany,
Mknie zawzięty, niewstrzymany,
Mknie jak żywy, jak szalony —

Jak ta młodość — silna, wrząca,
Chciwa wrażeń i użycia.
Po niesfornych falach życia.
Naprzód wciąż swą łódz potrąca,
I niebaczna na zamglenie.
Na przepaście i zawady,
Na kierunki, pełne zdrady,
Często trafia — na kamienie.

*) Klipery, — statki amerykańskiej konstrukcyi, dziś upowszechnione w marynarce, zalecają się wartością dobrych pływaczy.

Często czeladź puszcza z dłoni.
Żagiel, słabo skrępowany;
Sternik w kącie śpi pijany,
A łódź, — mylny prąd ją goni!

NA KATTEGACIE.

Mijają dnie, tygodnie w jednobarwnéj zmianie,
Żegluga choć utrudza, jednakże nie nudzi;
Nie tęskno po szerokim bujać oceanie.
Na chwiejących się deskach, śród garstki tych ludzi,
Z którymi los zjednoczył w odpływcia godzinę,
I spoił wspólną dolę w przyjazną drużynę.

Szybko ku południowi kliper się posuwa,
I wciąż pląsa — ta istna morska tanecznica —
Przed nim fala olbrzymia płaszczy się, rozsuwa,
To go znów na swe barki wydęte pochwyca,
Zamierza rzucić w przepaść — lecz nim się wysili,
W miejscu gdzie była przepaść — już góra się chyli.
— Już dawno wirujący M a l s t r o m*) wyminiony,
Nieznacznie ciemny szafir na głębiach odbity,

*) Malstrom — u północno-zachodniego brzegu Norwegii, między wysepkami, wirująca wodna przestrzeń, którą starannie omijają żeglarze. Miejsce to uważane dzisiaj równie niebezpiecznem, jak w starożytności bajeczna Charybda.

Przemienia się na kolor perłowo-zielony,
Fala coraz drobnieje, — ocean przebyty.

Nie widać jeszcze lądu przed chciwą powieką,
Lecz zda się, iż norwegskie brzegi niedaleko,
Gdyż niekiedy już ptastwo nadleci gromadnie,
Zakołuje i zniknie, — to żagiel w oddali
Zamajaczy, zabieli, przemknie — i przepadnie;
To dymek się ukaże, rozściele po fali,
I coraz częściéj w przodzie, śród wodnéj równiny,
Wyrasta maszt lub komin — znać blisko ciaśniny.

„Marsowy, na mars! — w koło śledź lądu!“ — poskoczył—
Po chwili już u szczytu objął maszt pochyły;
Wzrokiem pilnie na zachód i na wschód potoczył —
„Czy dojrzałeś co?“ — „Widzę!“ „Co widzisz?“ — „Mogiły!“ *)
— Ziemia! — jakaż wnet radość owiewa żeglarzy,
Widnieje w każdym ruchu i na każdéj twarzy!
Jutro albo pojutrze, wiatrów niewolnicy,
Zawinąwszy do portu na chwilę wytchnienia,
Zapomnim na gościnnéj, choć obcéj, ziemicy,
Przetrwanych niepokojów, pracy i znużenia!
Jutro! — ach, i na lądzie nikt zań nie odpowie;
Na morzu — niémasz jutra: dziś — pewne w połowie.

---

*) Chłop ukrainski, przerobiony na majtka, każdą wyniosłość brzegową, stosownie do pojęć rodzimych, nazywa — mogiłą.

Wiatr porywczo i niestale
W tę, to w ową stronę dmucha;
Statek wlecze się ospale
I niechętnie steru słucha;
Jakby nierad naprzód płynąć,
Zwalnia pędu, to się słania;
Jakby wroga chciał wyminąć,
I ujść cało, bez spotkania.
Może pewny że w téj chwili
Ciężka walka go nie minie:
Czyż ją wytrwa i przesili,
Czy się podda i zaginie?
Pewnie przeczuł bój złowrogi,
Gdyż wciąż zwleka się, drzy cały,
Jakby zwrótnéj szukał drogi,
By wstecz pomknąć — lotem strzały —
— Jak koń dziki, w stepie głuchym
Gdy dostrzeże wroga-zwierza,
Strzela okiem, strzyże uchem,
I wprzód niźli ujść zamierza,
Jakby stając do obrony,
Chwilkę w miejscu się powstrzyma:
Aż, napaścią przynaglony,
Mierząc trwożnie step oczyma,

W czwał poskoczy przez burzany,
Przez zarośla, trzęsawiska,
Nim spieniony i zdyszany
Doczwałuje — do urwiska!

*

Mgła jesienna wiatru pędem
Z nad powierzchni wód przepada,
I potwornych kształtów rzędem
Na niebiosach się rozsiada,
Gdzie zgęszczone ciemne chmury
Kryją słońce i lazury.

Wód powierzchnia głucha, naga,
Jednofarbną łuską mruga,
Coraz mocniéj wiatr się wzmaga,
Jednak na nic ta posługa,
Gdyż z kierunkiem statku sprzeczny,
Południowy — a więc wsteczny.

„Baczność dziatwo!“ — w zdradnym skoku
Już naciéra szkwał za szkwałem;*)
Wślad za wichrem, z przodu, z boku

*) Szkwał — wiatr porywczy, krótkotrwały, często z deszczem lub gradem, przyczyniający niekiedy znaczne szkody statkom żaglowym, jeśli się wcześniéj nie zastrzeżono.

Chmury toczą się nawałem.
Burzonośne, rozstrzępione,
Nieprzejrzane, niezmierzone.

Już dotarły: wiatr, ulewa,
Zwisłe chmury, wzdęte fale
W jedną wrzącą otchłań zlewa,
I w tym spólnym, wodnym szale
Biedna łódka-męczennica
Wciąż bałwanów złość podsyca:

Utuliwszy skrzydła-żagle,
Posuwista, długoszyja,
Czołga zwolna, to mknie nagle,
To na strony się wywija:
A tu w koło, burza wściekła
Dmie zawzięcie tchnieniem piekła.

*

Jak skrzydło rozpostarte zagładcy-anioła,
Noc ciemna, nieprzejrzana zapada dokoła:
Na niebie coraz srożéj wichrzy się i chmurzy,
Morze coraz groźniejsze pieni się i burzy.
Śród zaległéj ciemności, wzrokiem nieprzebytéj,
Bałwany, niosąc pianą ubielone szczyty,
Zewsząd walą a walą, jak zaczepne szyki,

Przy odgłosie rażącéj, roznośnéj muzyki.
Bo téż dziki to nastrój: każda gniewna fala,
Co zagląda na pokład i nań się powala,
Każda ma inny rozgłos, którym wciąż odbrzmiewa,
Aż go zgłuszy szum wiatru, oniemi ulewa.
Na statku, każda lina, w łuk wiatrem wygięta,
Napróżno chcąc potargać wiążące ją pęta,
Każda drzy innem drzeniem i inaczéj dźwięczy:
Pohucza w różnogłosy, podzwania, to jęczy,
Wszystko skrzypi bez przerwy, rozchwiane, zwichnione;
Maszt, walec, każda deska i drewno spojone;
Skrzyp, łoskot — jedna nuta, któréj groźnie wtórzy
Ryk fali, poświst wichru rozhukanéj burzy.
— A czeladź na pokładzie przeziębła, znużona,
Ostatnich sił dobywa, natęża ramiona,
By się oprzeć żywiołów sprzymierzonych sile,
I szamotać się z śmiercią — choćby na mogile....

*

Zejdźmy na dół z pokładu: smutne tu zacisze!
Jakaś tęskna posępność, złowieszcze milczenie:
Drgająca wciąż u belki, lampa się kołysze,
Na ścianach dziwotworne krzyżują się cienie;
Jak tu duszno: wzrok mgli się, pierś ciężko oddycha,
Urojenia czy myśli nacierają tłumnie;
Gdzież jestém? — czyja ręka do grobu mię spycha?

Bolejący lecz żywy — czuję się być w trumnie!
Duch się czépia przeszłości, i skupia odrazu
Wszystko, co gdzieś rzucone po życiowéj drodze;
I wcieliwszy to w zarys żywego obrazu,
Przegląda się sam w sobie, i cofa się w trwodze.
Bo cóż w owéj przeszłości? — kilka drogich wrażeń,
Kilka czystych pomysłów, zatartych bez śladu,
Kilka marnych zapędów, niedościgłych marzeń,
A reszta, — liche życie rośliny, owadu!
Duchu mój! — wprzód nim zdołasz, uszedłszy z téj trumny,
Dosięgnąć zapomnianéj, niebieskiéj dziedziny,
Zeznaj, duchu bezwładny, a jednak tak dumny,
W czém ślad bytu zostawisz, gdzie są twoje czyny?
W przyszłości? Jakaż przyszłość, gdy wolą Wszechmocną
W téj chwili śmierć zniweczy twój zlepek ubogi?
Z którego odziedziczysz przeszłość bezowocną,
Przeciętą od wieczności — deską téj podłogi??

*

Żyję, czy jestem w grobie? — słyszę po nad głową
Wrzaskliwy głos dowódcy, jakiś łoskot głuchy;
Poczułem drgnięcie serca: któż mi rzuci słowo
Wzmacniające przed skonem, kto doda otuchy?
— Tyś jeden tylko mocen, coś w ostatniéj dobie,
Opuszczony od wszystkich, w ustroniu ogrojca,
Mając serce zbolałe i duszę w żałobie,

Prosiłeś o wytrwałość niebieskiego Ojca!
Ty jeden, dawco siły, co w przedśmiertnéj nocy
Zeznałeś byt cielesny, czułeś jak on ciężył,
Gdyż wprzódy zapragnąłeś anielskiéj pomocy,
Nim przyjąłeś swój kielich, nimeś śmierć zwyciężył:
Ty jeden mnie podzwigniesz! — bo mój duch uspiony
Dłużéj czuwać nie zdolny, modlić się nie może...
— Wszakże i duch Twych uczniów, potężny, natchniony,
Nie mgł czuwać zarówno z Twoim Zbawco-Boże!
Czém-że moje mdłe siły? — już poszły na mękę,
Wprzód się stargać gotowe, nim je śmierć przetrawi:
Ach! jedyna! — wyciągnij zdaleka twą rękę,
Pobłogosław synowi! — nikt nie błogosławi...

*

Śnię, czy na jawie myślą-zwodnicą
Odtwarzam światów rojonych dziwy?
Jakieś zjawisko ćmi przed źrenicą,
To nie ułuda, — widzę cud żywy:
Z promiennych wyżyn coraz się zniża
Zda się, iż znane niegdyś, oblicze,
Widziadło znika, to się znów zbliża,
W końcu dostrzegam kształty dziewicze:
Piana je morska zewsząd osłania,
Lśni i migoce, a promyk złoty
Rozświetla błędny połysk zarania

Na smutnéj twarzy drogiéj istoty.
Ku niéj myśl moja... za nią wzrok goni,
I chciwie śledzi polot powiewny;
Ach, — już jest przymnie, czuję dłoń w dłoni,
Słyszę dzwięk głosu — tęskny a śpiewny:

„Pokój tobie! — jam zwiastunka
Nie zagłady — ocalenia,
Nie rozpaczy — wybawienia:
Twa najbliższa, — bo piastunka
Od początku, od powicia,
Wątłych kroków twego życia:

„Jednak wzgardzona, — bo w dumę wzbity,
Miałeś wędrować o własnéj sile;
I cały pleśnią ziemską okryty,
Radbyś był przypiąć skrzydła motyle!
Daremna próba.... marny, cielesny,
W stanowczéj chwili, śród ciężkiéj próby,
Wydałeś okrzyk trwożny, bolesny,
— Jakby jęk zdolny chronić od zguby!
Strzeżony dotąd — nie zginiesz jeszcze;
Lecz pókiś ziemski, — nie ziemi synu —
Niech ci tkwią w sercu słowa me wieszcze:
— Masz żyć wciąż walką słowa i czynu!
I gdy w niéj duchem wzrośniesz, zmężniejesz,
Wówczas chlubniejszą zjednasz zapłatę,
Gdy chociaż jedno ziarnko zasiejesz,
Niżbyś uzbiérał plony bogate!

Trudna to walka, — lecz masz sam w sobie
Oręż, co nigdy nie przeniewierza:
Wszędzie on z tobą, i w każdéj dobie,
Gdy nie zapomnisz ojców pacierza...
— Spiesz się więc! — życie nędzne ucieka
A z nim ostatki siły i męztwa;
Spiesz się, — inaczéj nicość cię częka:
Patrz! — oto godło chwały, zwycięztwa!...”

Głos zamilkł... postać, niknąc, jaśnieje zdaleka,
Widzę otchłań, a nad nią krzyż w cierniowym wianku:
Jedną krzyża połowę gruby kir powleka,
Środkiem, świeżéj krwi struga płynie bezustanku
I spada w ciemną przepaść... zniża się ma głowa,
I upada bezwładnie... ciemno; martwość głucha
Wszystko w koło zalega: — tylko pieśni słowa
Dolatują zdaleka do serca i ucha:

„Niech mu spoczynek bole osłodzi;
Bo jeszcze ciężko ma być cierpiącym
Gdy się rozbudzi, gdy się odrodzi,
— Oh, biada martwo-żyjącym!
Niech się ukoi wieszczemi snami,
Niechaj przyszłości snuje nić złotą:
Chwała na ziemi, i między nami;
Chwała! — Golgotho, Golgotho!!”

*

Spiesz się mój duchu! — droga twa wolna,
Witać świat światów, wieczną ojczyznę:
Twoja powłoka, już nieudolna,
Poszła na ziemską karmię - zgniliznę.
Lecz cóż cię więzi?... chciałżebyś jeszcze
Znowu w nikczemném ciele się brudzić?
Ach, czuję jakieś drgnięcie złowieszcze;
Czyż znowu zmysły mają mię zbudzić?..
— Widzę wyraźnie odbłysk zarania,
Myśl się wyświetla z rojeń natłoku:
Słyszę głos ludzki i tępotania,
Spieszę na pokład, — cudny widoku!
— Niebo i morze — to bezgranicze
Zlane lazurem, złotem przesnute:
Bez ruchu, niebo to tajemnicze
Zda się, ku ziemskiéj bryle przykute;
Morze, fibrując, lśni się dokoła,
Sieje szmaragdy, i pereł krocie
Rzuca na pokład, — na nim wesoła
Gwarzy czeladka, przy swéj robocie.
Rannéj ochłody owiany tchnieniem,
Z czeluści śmierci wrócon do bytu,
Cały niemieję słodkiém wzruszeniem:
— Bo czémże słowa szczęścia, zachwytu?
Com teraz poczuł, — ten mię zrozumie

Kto długo jęcząc w więzach, o głodzie
Ze snu zbudzony, znalazł się w tłumie,
I pieśń zasłyszał, — pieśń o swobodzie...
A wywiedziony z wilgotnych ciemnic,
Odetchnął czystym chłodem poranku;
Ujrzał niebiosa, pełne tajemnic,
Wkoło naturę w majowym wianku!
Zrozumie ciemny — co w swéj niemocy
Lube obrazy, karmiąc sam w sobie,
Przejrzał, — i znowu, po długiéj nocy,
Ujrzał świat Boży w całéj ozdobie.
Lub ten, kto śmiercią już wpółstrawiony
Bezmyślnie żegnał dziatki - sieroty;
W tém, ręką zbawczą znowu dźwigniony,
Odzyskał, z życiem, drogie istoty!..

*

Jesienny, lecz pogodny wieczór się rumieni,
Uległy się strudzone wrzących fal szeregi:
Słup ognisty migoce na wodnéj przestrzeni,
I spaja dwa dalekie, przeciwległe brzegi.
Po chwili, cały obraz mgli się i przyćmiewa,
Farby mienią się, nikną w otchłaniach błękitu;
W końcu cały widnokrąg ciemna mgła zalewa,
Tylko gwiazdki mrugają z kopuły zenitu.
— Po żaglach muska wiater północno-zachodni,

Statek zwolna się czołga po zwężonéj strudze.
Coraz bardziéj się zbliża ku morskiéj pochodni,
Co przyświecać przybyszom rada, ku posłudze.
— Ciaśnina coraz bardziéj zwęża się i zżyma,
Coraz jaśniéj wystają dwóch krain wybrzeża:
Bliżéj światło latarni — a wprost, przed oczyma,
Na ciemném tle strzelista szkicuje się wieża;
— To warownia Kronborgu*): — krainy przedmurze —
Warownia, niegdyś w dziejach wojen morskich słynna,
Gdyż nie jedną bojową wytrzymała burzę,
Dziś, nie grożąc nikomu, dla wszystkich gościnna,
Przyświetla żeglującym i wabi ich zdala
Do błogiego wytchnienia po trudach żeglugi;
Tu, w każdéj porze roku las maszt ją okala,
Powiewają bandery w różno-farbne smugi. **)

---

*) Warownia Kronborg, założona przez króla duńskiego Frydryka II, dziś ufortyfikowana wedle nowszych zastosowań sztuki wojennéj panuje nad Sundem. W roku 1801 angielscy admirałowie Parker i Nelson wyminęli szczęśliwie tę fortecę i bombardowali Kopenhagę. — Kronborg ma swoje podaniowe i historyczne znaczenie: Szekspir obrał to miejsce na spotkanie Hamleta z cieniem ojca; kronborgskie więzienie wsławiło się uwięzieniem królowéj Karoliny-Matyldy, żony Krystyna VII, siostry Jerzego III.

**) Pierwsze zarody marynarki w Polsce znajdujemy już w pierwszéj ćwierci XII wieku, przy Bolesławie Krzywoustym. Władysław Łokietek i Kazimierz IV rozwijali ją stopniowo, lecz dopiéro w połowie XVI stulecia, przy Zygmuncie II, mieliśmy wojenną flotę pod przewodnictwem słynnego kapitana Szerpinka. Zygmunt III i Władysław III przy usiłowaniach podźwignąć flotę, nie ustrzegli ją od upadku.

— Tu wypoczniem, użyjem chwilowéj swobody,
Już statek wpadł do koła bezczynnych sąsiadów:
Chwila, — i już kotwica rzucona do wody,
Z nią razem, padły żagle na deski pokładu.

U WYSEPKI SALTHOLM.

Choć wywczas smakuje, i spokój w nim błogi,
Lecz nagli konieczność — więc znowu do drogi!
Choć dłuższe wytchnienie nie przykrzy nikomu,
Choć miła gościna, — lecz spieszmy do domu.
— Com wyrzekł! — do domu? toż szydzę sam z siebie!
Wędrownik bez celu, o obcym wciąż chlebie,
Cóż nadto mam swego, prócz szerzyn téj wody,
Prócz światła, powietrza i myśli swobody?
Sam jeden na świecie, bez roli, bez doli,
Gdzie skargi me złożę, gdy serce zaboli,
I komu powierzę me dumy tajemne,
I kędy skieruję westchnienia daremne?

Me skargi tułacze wykryję rozbudzę,
I puszczę je z piosnką po cichéj wód strudze,
Lub poszlę je z wiatrem, tułaczem-bratańcem,
Gdy dotrze Podola szalonym swym tańcem,
Niech wszędy potoczy: po górach, rozdołach,

Po gajach zielonych, nadbrzeżach i siołach,
Niech zwróci przed domki, pod okna się wkrada,
I jęcząc, szeleszcząc mój ból wypowiada;
A może się ozwie tam dusza jedyna,
Co kiedy-niekiedy żeglarza wspomina!
— Lecz wiatr zły powiernik, gdyż błądząc w przestrzeni,
Tężeje, to słabnie, i drogę wciąż mieni!

Zawieszę więc dumkę na chmurach, co czwałem
Ku stronie południa zdążają nawałem;
Być może, na widok téj błędnéj drużyny,
Zatęskni gdzie serce, śród bratniéj rodziny;
— Niestety! — ta lotna, powiewna gromada
Rozdziéra się, spłaszcza, i w końcu przepada!

Więc siły méj duszy, co mrą mi w żałobie
Przechowam och, w tajni, i zawrę je w sobie;
Niech coraz się grubszym zanoszą całunem,
Gdy skonać nie mogą — ni wskrzesnąć piorunem!

*

Już po ciaśninie, śród błogiéj ciszy,
Moja łódz zwinna ślizga powoli,
Zachodni wietrzyk zaledwie dyszy,
I sił probując, z żaglem swywoli.
Bo też nie spieszno: — zwolnijmy kroku, —

Nie wiele drogi już do przebycia:
A tu naokół tyle uroku,
Tyle z obustrón wdzięku i życia!
— Brzeg lewy wiejską wieje słodyczą:
Pstrzą się wieżyczki. wzgórza, rozdoły,
W przodzie wysepka, metą graniczą,
Wody ciaśniny dzieli na poły.

Prawy brzeg dziwnie rozpromieniony
Złocisto-krwawą łuną zachodu,
Barwi się, niby wianek, spleciony
Z domków, pałaców, gajów, ogrodów.
A u zatoki, z kłębów kurzawy,
Co wzdłuż zaległa płaskie wybrzeże,
Wystają szkice groźnéj postawy,
— To Kopenhagi iglaste wieże.
Oko się bawi lubym obrazem,
Pierś się napawa roślinną wonią,
I chciwe ucho chwyta zarazem,
Dźwięki, odgłosy, co zdala dzwonią.

Dochodzi echo gwaru stolicy,
To znów ryk bydła z gęstéj dąbrowy;
To dźwięczny rozgłos dzwonu z wieżycy,
To smętna nuta piosnki ludowéj.
O jak tu lubo, zdala od ludzi,
— Przetrwawszy życia ciężkie tortury —
Gdy nic nie jątrzy, i nic nie brudzi,

Zlać się na chwilę z modłą natury!
Na jedną chwilę — gdyż nocy cienie
Gwałtem ścierają wszystko z przed oczu,
Coraz to więcéj lube widzenie
Ćmi się, i w końcu — ginie w omroczu...
W górze światełek - gwiazdek bez liku,
Tyleż lśni w nurtach, — w koło noc głucha:
A fosforyczna woda Baltyku
Z obustrón statku płomieniem bucha.

*

Szczęśliwy żeglownik, gdy wiatr mu posłuży,
Po wielu dniach pracy i tęsknéj niewoli,
Zawinąć do portu: gdy los mu pozwoli
Zapomnieć na chwilę, u celu podróży,
O statku zprzykrzonym, o wiatrach wciąż zmiennych,
O dniach niepokoju i nocach bezsennych;
Lecz stokroć szczęśliwszy gdy widzi się blizkim
Rodzimych wybrzeży, gdzie, znużon żeglugą,
Wędrowną kotwicę rzuciwszy na długo,
Powita swą strzechę, z domowém ogniskiem,
Powita rodzinę, przyjaciół, współbraci,
I łzami radości stęsknienie wypłaci!
— Nie moja to przyszłość: — nie dla mnie ponęta
W radośnym ucisku kosztować wytchnienia:
Mym szczęściem — ból własny; nagrodą — zmartwienia;

Spoczynkiem — ta przemoc jakowaś zawzięta,
Co każe iść naprzód, bez celu, bez mety,
Nie dając znużeniu pociechy, podniety!
— Napróżno więc fińska gościnna zatoka
Zwężając się, zbliżyć swe brzegi pospiesza:
Tam nic mię nie nęci, tam nic nie pociesza,
I nic nie przemawia do serca i oka!
— Ach, próżno, poznany ląd wabi zdaleka;
Bo czegoż mam spieszyć — gdy nikt mię nie czeka?..

Z DRUGIEJ PODRÓŻY MORSKIEJ.

NA ZGLISZCZACH.

Znowu-m wędrownik, — stoję na wzgórzu,
Wkoło bezbarwny poziom szarzeje;
Nad nim mgła gęsta słania się, chwieje,
A daléj, wyżéj, aż w międzychmurzu,
Tej opuszczanéj strzegąc krainy,
Gór ubielone lśnią się wyżyny.

Gdzież to wstrzymałem mój krok pielgrzymi?
Jakież to miejsce głuche straszliwie?
— Dziś tu pustkowie, a na téj niwie
Jeszcze niedawno wzrósł czyn olbrzymi,
Niedawno jeszcze, śród krwi i znoju,
Drzała tu nuta straszliwa boju.

Pójdźmy więc zwiedzić te świeże szczątki,
Póki je czasu pył nie przyprószył;
Póki je człowiek z miejsca nie ruszył,
By te rozsiane Krymu pamiątki,

Co mają świadczyć o zeszłéj chwale,
Użyć na własną korzyść zuchwale.

Spójrzmy więc na wschód, tam, gdzie w zwaliskach
Genueńczyków stoją wieżyce,
Gdzie spustoszoną wciąż okolicę
Krzyżują drogi — na cmętarzyska:
Tu, dziś niepomny przodków swych sławy,
Osiadł frymarczyć grek Bałakławy.
Daléj, na grzbiecie samotnéj skały,
Gdzie tylko orłów skryte siedliska,
Krzyż pozłocisty zdala połyska,
Wieńcząc klasztoru gmach poczerniały,*)
Tam kilku starców, w ustronnéj ciszy,
Dokonywają swój żywot mniszy.

Cudny ztąd widok: w lewo i w prawo
Wystają nagie kamienne bryły,
Co się w niekształtne massy spiętrzyły,
By swą olbrzymią, groźną postawą,
Wyrównać mocy tego żywiołu,
Co się, szamocąc, pieni u dołu.

Wprost monastéru strome urwisko
Najérza krzewiem ostre wyłomy,

*) Klasztor Św. Jerzego.

Co wyrzucone na brzeg poziomy,
Na bezustanne fali igrzysko,
Mając u stóp swych spienione tonie,
Kryją wierzchołki w chmurnéj osłonie.

— Spójrzmy na zachód, — w zaciętym boju
Gdzie się ścierały zbrojne narody;
Dziś tu bieleją tylko zagrody
Spoczywających w wiecznym pokoju;
I cała przestrzeń tych pól rozległych,
Teraz ojczyzną — wspólnie-poległych.

Wkoło okopy, — dalėj równina,
Nosząca smutne zniszczenia ślady,
Za nią pamiętne wzgórze zagłady*)
Na lewo — martwe miasto-ruina,
Na prawo, — z gęstych zwojów tumanu,
Przegląda zdala szkic Inkiermanu.
— Cały krajobraz ten spustoszenia
Osłania jakiś letarg głęboki;
I na spokojnych wodach zatoki
Takaż posępność osamotnienia,
Tylko, gdzie-niegdzie, na wpółstrzaskane,
Wystają maszty pokrzyżowane.
I pośród ofiar tych konieczności.

*) Małachów.

Co się w przedwczesnéj uległy trumnie,
Bojowy okręt, chwiejąc się dumnie,
Pewien pomyślnéj, chlubnéj przyszłości
Na towarzyszy-topielców grobie,
Stoi samotny, w groźnéj ozdobie.
On to, za chwilę, żagle rozwinie,
Swe macierzyste wody porzuci,
Na które więcéj może nie wróci,
I po szerokiéj morza równinie
Gmach - pływak pomknie rączo i zwinnie,
Aż gdzieś u celu spocznie bezczynnie.

— Wolą wyroczni, czy nawyknienia
Znowuż podróżnik z musu, niechęty,
Mam się na morskie rzucać odmęty?
I bez ustanku, i bez wytchnienia,
Błąkać po świecie, z moją spólnicą
Nieodgadnioną, — dumką-tęsknicą?

*

Ustąpcie z myśli i z łona
Lądowe troski i bole;
Przyjmij mię w twoje ramiona
Majestatyczny żywiole!

*

Zanieś na obcych strón miedzę
Zdradnych topieli bezdrożem;
Niech znikłe szczęście wyśledzę,
— Wszak mówią: szczęście — za morzem.

*

Powiéj pomyślny i trwały,
Mój lotny żagiel podsycać;
Falo, — rozrzucaj kryształy,
Bom rad się na nich kołysać!

*

Nie tęsknię, choć w wstecznym biegu
Ląd coraz daléj ucieka;
Bom rad, nie będąc na brzegu,
Patrzéć nań tylko — zdaleka.

*

W życiowych wrażeń natłoku,
Wszystko lądowe, co nęci,

Zdaleka — pełne uroku:
Zbliska — odtrąca, niechęci...

*

Morze! — tyś tylko jedynie
Cudne w oddali i zbliska:
Bo téż o każdéj godzinie
W tobie się niebo odciska!

ŻEGLUGA.

Daléj z śpiewką i z nadzieją
Po czarownéj wód pościeli!
Niech się oko rozweseli,
Siły duszy odmłodnieją.
Dość już w mieście gnuśnieć marnie,
— Gdzie tak głucho i bezludnie —
Gdzie się życie ćmi bezbarwnie,
— A więc daléj na południe!
Wszystko sprzyja: — dni grudniowe
Chociaż mroźne, lecz pogodne;
I drgające wydmy wodne
Złoci słońce południowe.

Już w pieluchach mgły i dymu
Tonie miasto, — tuman spaja
Drobniejące góry Krymu,
I Fiolent i szczyt Aija.

Ląd się spłaszcza, i zanurza
W mlécznych pręgach międzychmurza;
I widnokrąg — bezgranicze
Nieruchome, tajemnicze.

— Dni mijają, bez przeszkody
Krając piersią bryłę wody,
Dobrym wiatrem, ku ciaśninie
Niestrudzony okręt płynie.
Wkrótce dotrze, — choć od wschodu
Niebo ściemnia się i chmurzy,
I słabnący wiatr źle wróży;
A zniżone u zachodu,
Jakby ćmiąc się, bez promieni,
Słońce krwawo się czerwieni.

*

Rozbudza ze snu rozkołysanie,
Gwar niewyraźny i skrzyp rażący;
Nad głową słychać spieszne stąpanie,
I szum stłumiony fali ryczącéj.
Wyjrzmy na pokład, — co się tu dzieje!
— Grad, śnieg z zamiecią zwarły się społem;
Wiater stężały wściekle szaleje,
Krąży się górą, i pędząc dołem,

Wierzchołki fali wichrzy i ścina,
To je wysoko piętrzy i wspina.

Świta: — noc ciemną dzienny brzask zmienia,
Lecz zewsząd chmurna wisi osłona,
Tylko niekiedy z niebios sklepienia
Półtwarz księżyca blada, stęskniona,
Jakby współczując wód zaburzeniu,
Wyjrzy na chwilę, blaskiem potoczy
Po wrzącéj fali, i w jedném mgnieniu,
Znowu się w chmurach zacienia, mroczy;
Zniknie, — i otchłań jeszcze czarniejsza,
I burza huczy jeszcze groźniejsza.

*

Pędzony wirem groźnéj zawjei
Błąka się okręt, całkiem rozchwiany
Sześć dób szturmuje, w zwodnéj nadzjei
Iż się uśmierzą groźne bałwany,
Lecz burza próżno jątrzy się, wzmaga,
Wszystkie pociski na-raz skojarza,
Gdyż ją wytrwałość ludzka przemaga,
Niedorównana praca żeglarza;
I to szalone, konieczne męztwo,
Co musi zdobyć grób, lub zwycięztwo!

— Tak młody żołnierz, na polu bitwy
Gdy wroga hufiec dojrzy zdaleka,
Jego zaczepne ruchy, gonitwy,
— Zrazu trwożliwie napadu czeka:
Lecz gdy dosłyszy strzały, okrzyki,
I śmierć mu w oczy błyśnie żelazem,
Gdy go pochwyci boju wir dziki,
I swym zniszczenia krwawym obrazem,
Rozjątrzy serce, oko zakrwawi,
Wówczas w nim męztwa duch się wyjawi:
Wówczas bojownik, jak potok lawy,
Niszcząc dokoła mocne zawady,
Lubuje w nucie jęków i wrzawy
I karmi duszę tchnieniem zagłady.
A gdy, szczęśliwy, placu dotrzyma,
Mdlejąc już z trudów i wysilenia,
Jeszcze groźnemi toczy oczyma
Po krwawych szczątkach mordu, zniszczenia,
Choć już na miejscu pobojowiska
Umilkły strzały, i krew nie tryska.

*

Zaczarowanie czy drzymka pieściwa
Przesnuwa obraz cudnego utworu?
— To nie złudzenie, a taśma prawdziwa
Nieporównanych widoków Bosforu!

Tutaj pospieszaj artysto-malarzu,
Jeśli chcesz oko i duszę nasycić:
Tu, w czarującym dwóch lądów pejzażu
Wydołasz piękno natury pochwycić.
Kilkomilową tę przezdłuż nadbrzeży
Podziel na cząstki, a w każdéj z tych cząstek
Dopatrzysz całość, w cudownéj odzieży,
Pełną powabu, tajemnic, pamiątek!
Tu takim czarem wszystko cię owionie,
Iż się zachwiejesz w kapryśnym wyborze
Gdzie wzrok zatrzymać, gdy na-raz w odsłonie
Ujrzysz Róg - złoty i miasto i morze!

— Tak wychowaniec miękkości seraju,
Z grona huryssek chcąc jedną wydzielić,
Myli swój wybór, bo i w siódmym raju
Prorok nie zdoła tyle wdzięków wcielić.

— Tu spiesz poeto, jeśli pierś zbolałą
Chciałbyś złagodzić w natury uścisku:
Tutaj, śród zwalisk, czy pod stromą skałą,
Przy pieszczotliwym szmerze wodotrysku,
Czy na cmentarzach, wciąż kwieciem porosłych,
Gdzie nieprzerwane dźwięczą ptasząt pienia,
W cieniu kasztanów, cyprysów wyniosłych,
Wskrzesisz myśl zmarłą, ukoisz cierpienia.
— Chcesz dziejów dotknąć? — więc przypatrz się z bliska
Temu półkolu ujętemu murem,

Spójrz na te gmachy, zmienione w zwaliska,
Upstrzone złotem i drogim marmurem,
Na te niknące szczątki hippodromu,
Na smutne ściany wiekowych meczetów,
Świadków tysiąca pokoleń pogromu,
Na rzęd nadbrzeżnych cacek-minaretów:
I krok po kroku dziejowy śledź wątek,
Dziś zagrzebany w téj wielkiéj ruinie;
Ożyw ją myślą, i każda z pamiątek
Zamierzchłą przeszłość przed tobą rozwinie!
I jeśli w piersi uczucie ci wzrośnie,
Co tworząc pieśni, z pieśni czyny rodzi,
Śpiéwaj poeto, ożywczo, roznośnie,
— Tu czuć i śpiéwać nikt ci nie przeszkodzi!...

Tu śpiesz pielgrzymie, pędzony rozpaczą
Po brukach ludnych i błyszczących stolic;
Tutaj orzeźwisz swoją pierś tułaczą,
Śród tronujących Bosforu okolic;
Gdy zaś twe serce, w którém rozpacz gości,
Na wdzięk natury stało się nieczułém,
Pośpiesz ku miastu, lub stojąc przy moście,
Co łączy Perę z zgrzybiałym Stambułem,
Śledź bacznie ludność tę różnoplemienną,
Zgarnioną tutaj z różnych końców świata,
A wnet dosłyszysz w mowie nutę brzmienną,
Co ci przypomni słowianina-brata:
I z niéj się dowiesz, że ten brat twój mniejszy,

Że ta kość z kości, jedno dzielne serce,
Stalszy w wytrwaniu, w nadziei wznioślejszy,
Stokroć, nad twoją, w gorszéj poniewierce!...

*

Dzień gaśnie, — słońce złotym ognikiem
Na półksiężycach błyska i płonie;
To znów migoce krwawym językiem
Po szybach gmachów, i w końcu tonie.
Miasto się zlewa z wodną płaszczyzną,
I w głąb' się kryjąc, niknie w pomroku;
Mgła, przyprószając brzegi siwizną,
Zmienia ląd w wązką pręgę obłoku.

Wiatr dmie ostry, — wiatr z północy —
Okręt wartko pędzi, wali;
Nic nie widać w zwojach nocy,
Prócz skaczących grzbietów fali.
Rozwidniało: dzień się chmurzy,
Znowu świszcze nuta dzika;
I naglony pędem burzy,
Okręt szybko się przemyka.
Już i druga noc się ściele,
— Wiater pędzi z straszną mocą —
Już przebyte Dardanelle,
W przodzie wyspy wciąż migocą:

Któraś umknie, to znów inne
Jéj na zmianę się wychylą:
Wyminione: — niegdyś słynne —
Imbros, Skiro, Andros, Milo.

Lecz jakiż to, na prawo, z rozwojów tumanu,
Wysuwa się przylądek? — to szkic Matapanu:
Uchylmy więc swe czoła! — tu szacowne zwłoki
Téj, w wiekowym letargu uspionéj krainy,
Któréj niegdyś hołdował cały świat szeroki;
A dziś tylko podziwia relikwie - ruiny.
— Piękna, klassyczna Grecyo, świeczniku ludzkości!
Natożeś tronowała w chwale i potędze,
By, drogą bohatérstwa, zdążyć do nicości,
I, innych wzbogacając, saméj zdobyć — nędzę?
By w końcu karłowate wyhodować plemię,
Co dziś pleśnią pokrywa męczeńską twą ziemię?
— Obcy cię rozszarpali; — świętokradzkie dłonie
Wyłoniły cię z ozdób, zdarły liść wawrzynu
Co stulecia dostojne przyozdabiał skronie,
A swoi — mali duchem, niezdolni do czynu,
Jak nie pomną, w przeszłości twojéj wielkiéj cnoty,
Tak nędzni nie pojmują dzisiejszéj sromoty!...

— Płyńmy daléj, bo te szczątki,
I mogiła ta milcząca,
W inną strunę myślą trąca:
Inne dzieje i pamiątki

Rozpromienia i pochmurza:
Cóś się roi — znać nie we śnie,
Bo się oko w łzach zanurza,
Serce tętni, oh, boleśnie!
Płyńmy daléj: cóż że wkoło
Czarne chmury, wiatr się sroży,
I zawzięcie dmie wciąż w czoło;
— To nie wiatr, — to palec Boży!
Dla widzących — groźba, próba,
Zaślepieńcom — śmierć, zaguba!

*

Czas schodzi napróżno: — wciąż wsteczne podmuchy,
To znów dni bezwietrzne i słotne;
Leniwie się wleką bez zmiany, otuchy,
Godziny tęskliwe, samotne.
Posępny dokoła koloryt obrazu:
Na tle zamglonego odmętu
Brak farb i odcieni, brak życia, wyrazu,
Lecz smutniéj we wnętrzu okrętu!
Bo całe to wnętrze — jaskinia nadwodna,
Mieszcząca trujące wyziewy;
Zasnuta pomrokiem, ponura i chłodna,
Przesiąkła wilgocią ulewy.
Wciąż woda się sączy, i z wierzchu i z boku,
Wytryska ze szczelin, i ścieka

Z pokładu na pokład, i pędem potoku
Aż na dno okrętu ucieka.
Zmrok ciągły: niekiedy, na chwilę zbłąkany
Dnia promyk prześliźnie swą strzałę;
Przelotnie zadraśnie tu belkę, tam ściany,
To majtków oblicza schorzałe.
Gdyż długo ta biédna strudzona czeladka
Doznaje niewczasu i biédy;
U wszystkich tkwi w myśli jedyna zagadka:
Ach, dokąd dopłyniem, — i kiedy?

M A L T A.*)

Budzę się! — jakąż miałem noc słodką!
Sen się przesnuwa luby, wraźliwy;
Ach, nie uciekaj maro - pieszczotko!
Chwilkę! — wszak nie śpię, — jakież to dziwy?
— Dokoła cichość, nie huczy fala,
Nie zlewa szyby mego okienka;
Skrzyp zamilkł, okręt się nie przewala,
— Cóż to podźwięcza? — zda się, piosenka
Dzwoni za ścianą mojéj ciemnicy....
Słyszę wyrazy! — pieśń z Rigoletto!
— Ah, teraz pomnę! — wszak na kotwicy
Stoim od wczoraj przed Lawalettą!

Na pokład! — pędem przebiegłszy wschody,
Topię w lądowéj wzrok panoramie:

*) Wyspa Malta (Melita), z miastem Lawalettą, mająca do 60-ciu wiorst obwodu, liczy blisko 130,000 mieszkańców; — narzecze — arabsko-romańskie. Jako punkt handlowy i strategiczny, Malta dorównywa znaczeniu Gibraltaru.

Chwila, i chciwy użyć swobody,
Już, rad, wiosłuję ku miejskiéj bramie.
Spieszę: — już bliska przestrzeń przebyta —
Czemuż mi w piersi lekko tak, błogo;
Wszak wiém, że nikt tu mię nie przywita,
I sam nie znajdę z bliskich nikogo?
O, ten odgadnie zachwyt méj duszy,
Kto obszar morza musiał przepłynąć;
Kto pod dniach wielu trwogi, katuszy,
W końcu do portu zdołał zawinąć!...

*

Błękit niebios zewsząd czysty:
Od zachodu, pas złocisty
Drząc na falach, wpełzł do góry,
W różnocienie i kolory
Ufarbował twierdzy mury,
Gmachy, wieże i klasztory.
Zmrok: uliczny gwar już cichy;
Ruch ustaje, — tylko zwolna
Czasem przejdą, w parze, mnichy,
Lub spóźniona, czy swywolna,
Błyszcząc okiem z pod faldetty,*)

---

*) Maltańskie kobiety okrywają głowę czarną osłoną, spadającą na ramiona, zwaną faldettą.

Postać przemknie się kobiety.
— Miasto drzémie: szkic nadbrzeży
Coraz grubsze mroczą cienie;
Na zatoce toż uśpienie,
Cisza nocy: — tylko z wieży
Zegarowy dzwon wydzwoni:
Gdzieś drzémiący stróż wykrzyknie,
Pluśnie wiosło w czyjéjś dłoni,
I szmer wody z prądem niknie.

Noc styczniowa cudna, ciepła,
Południową tchnie pieszczotą,
Czemuż myśl się rwie z tęsknotą
Ku téj ziemi, co dziś skrzepła,
Lodowate swe łańcuchy
Rozciągnęła między morza;
I przywdziała w śnieżne puchy
Pola, góry i bezdroża?
Ku niéj duchem, i żrenicą,
Ku niéj sercem! — na nic zda się!...
Ustąp dumko - natrętnico!
Lepiéj okiem rzucim za się
Po tych murach i wieżycach,
Co przetrwały byt Zakonu;
Po tych skałach i strzelnicach
Zkąd synowie Albionu
Dzisiaj władni siać postrzały,
Gdy nadpłynie wróg zuchwały.

Dotkniem myślą téj przeszłości
Co śród głazów tu spoczywa;
Z ogniw chwały i nicości
Może spoi się treść żywa:

*

Minęły liczne krzyżowe wyprawy,
Miecz chrześcijański nie ścina turbanów;
Zamilkł szczęk broni i bojowéj wrzawy:
Lecz, w krwi pragnących, sercach muzulmanów
Tleje zawziętość, co nigdy nie minie,
Nigdy nie przyzna w różnowiercu brata;
Tleje ta zemsta, co w każdéj godzinie
Gotowa giaurów krwią oblać pół świata.
Zacięta walka krzyża z półksiężycem
Wciąż w pogotowiu trzyma obie strony;
I w ziemi świętéj, gdzie turek dziedzicem,
Pod godłem krzyża tworzą się zakony,
By się opierać przewadze zwycięzców,
Chronić niewinnych i gromić ciemięzców.

Jedno z bractw takich, — przyjąwszy nazwisko
Jana Chrzciciela, — na dwóch ziem' rozdrożu,
Na wyspie Rodos obiera siedlisko,
I gromiąc wroga na lądzie i morzu,
Coraz mężnieje, potęgę swą szerzy,

I z zakonników zmienia się w rycerzy. *)
Mijają wieki, i zakon wciąż wzrasta
Walecznych mistrzów dzwigniony ramieniem,
Na muzulmańskie okoliczne miasta
Rozsiewa postrach; a siłą i mieniem
Przechodząc inne służebne zakony,
Dzielnéj pielgrzymom udziela ochrony.

*

Nastało krwawe szesnaste stulecie **):
— Wiek barbarzyńskich, lecz rycerskich czynów —
Chorągiew wojny powiewa po świecie,
Wzywając ludy do klęsk lub wawrzynów.
Dawne usterki podnoszą znów głowę,
Sąsiad zawzięcie godzi na sąsiada;
Szerzą się gwałty i wojny domowe,
Szał krwi wylewu ląd stały owłada,
I nawet morskie zdradliwe otchłanie
Wrogów od bitew powstrzymać nie w stanie.

Na wodnéj mecie, co sobą graniczy
Brzeg afrykańskiéj, fanatycznéj dziczy
Od gór Grenady, — zawzięta, dziedziczna,

---

*) Zawiązanie się bractwa ś-go Jana Jerozolimskiego datują od ostatniéj wojny krzyżowéj, t. j. od XI w.

**) Czytaj: „Ancient and Modern Malta.“ (Boisgelin).

Wznawia się walka sroga, fanatyczna.
Okrutny Dargut, korsarz afrykański,
Coraz zuchwaléj szerzy swe swywole:
Rabuje statki, i lud chrześcijański
Wytępia mieczem, zabiera w niewolę,
A wieść o mordach i jego łupieży
W sąsiednich państwach daleko się szerzy.

Wieść ta dochodzi braci - Joanitów:
Wódz ich L'Isle Adam, wiedziony jedyną
Chęcią nieść pomoc, — nie żądzą zaszczytów —
Wsiada na statki ze swoją drużyną,
I z garstką braci, doświadczonych w boju,
Dawną siedzibę rzucając na wieki,
Puszcza się morzem na zachód daleki,
Szukać przytułku i wrogów pokoju.
Przybył: a łaska Karola cesarza
— Z warunkiem rocznéj daniny — sokoła,
Wyspą Melitą przybyszów obdarza,
Wróg zaś — po morzu snuje się dokoła.

Tutaj więc bractwo skupiać się zaczyna,
Krzyż ostrokątny szyje na odzieży;
Przybiera nazwę maltańskich rycerzy,
I z muzulmany krwawą walkę wszczyna.
Tu, na téj wyspie, gdzie wojownik Pański
— Którego Malta swym święci patronem —

Paweł apostoł przebywał przed zgonem, *)
Siedli się szczupły zastęp chrześcijański.

*

Od czasu, w którym krwi bratniej mściciele
Osiedli Maltę, uszło lat niewiele;
Jednak już oręż przybylców-rycerzy
Między niewiernych śmierć i postrach szerzy.
Po lśniących falach Śródziemnego morza
Ta czujna garstka, wciąż pilnie żegluje;
Śledzi łupieżców, i jak kara Boża
Spada na wrogów, rozprasza, morduje,
I za swych zbawców, chrześcijańskie jeńce
Wznoszą dziękczynne ku niebiosom ręce.

Sława tych czynów Stambułu dosięga,
Dochodzi uszu dumnego sułtana;
Nią muzulmanów zachwiana potęga
Rozbudza zemstę w sercu Sulejmana.
Gniew w nim roznieca i wzmaga najwięcéj
Zuchwałość mnichów: — złożywszy więc radę,
Wysyła wojska pięćdziesiąt tysięcy **)
Na ostateczną zakonu zagładę.

---

*) Znana jest legenda o ś-tym Pawle, w podróży do Rzymu, zaniesionym burzą na wyspę Maltę, gdzie ten apostoł rozkrzewiał chrześcijaństwo.

**) Nie licząc majtków i janyczarów, turcy mieli regularnego wojska z górą 30,000.

Szyki niewiernych spieszą się gromadzić,
Wsiadać na statki, opatrzone zbrojnie;
Basza-Piali ma je przeprowadzić,
Mustafa-basza przewodzić na wojnie.
Już odpłynęli.... o, biedni wyspiarze,
W was to ugodzi ten zbrojny morderca!
Rozsypie w gruzy warownie, ołtarze,
Lecz czy zatrwoży wojownicze serca?

*

Po dziennym skwarze słońce się usuwa,
Wschodni wiatr zlekka trąca wód lazury;
I zmrok wieczorny półcieniem zasnuwa
Warownie Malty, przylądki i góry.
Wieczorna pora rozbudza wyspiarzy:
Kmieci do pracy, a mnichy-rycerze
W zamku Sent-Elmo, u stopni ołtarzy
Odśpiewywują wieczorne pacierze.
W tém straż znać daje: — widne żagle z dala!
Któż się przybliża: — gość, czy wróg ukryty?
— Dopatrzeć bander już zmrok nie pozwala,
Lecz, zda się, na nich półksiężyc wyszyty.
Znane to godło nieprzyjaciół krzyża,
Jakieś zdradzieckie cele zapowiada:
Już się ku wyspie widocznie przybliża
Nieznanych statków płynąca gromada.

Wielki - mistrz z wałów wzrok wprawny natęża:
Znika wątpliwość, — „bracia, do oręża!“
I wieść o wrogu, piorunowym tokiem
Krzyżuje Maltę, a turek pod okiem
Ufny w swe siły, z pewnością zuchwałą
Wylądowuje: — i nim rozedniało, *)
Na wszystkich wzgórzach, w bojowym już szyku,
Wojska Mustafy stanęło bez liku.

Trudny więc opór, jeśli wróg uderzy,
Gdyż oblężeni nie naliczą więcéj
Bitnego ludu nad dziesięć tysięcy,
I uzbrojonych siedmiuset rycerzy.
Jednak się zbroi ta szczupła załoga,
Bo niepojęta i obca dlań trwoga;
Gdy z nią ochrońca i męztwa podnieta,
Wielki-mistrz Malty — Jan de La-Waletta. **)

*

Z fal się wynurza poranek majowy,
Maltyjskie skały wschód słońca rumieni;
Zadrzał, i jęczy wciąż rozgłos bojowy,
Ziemia gdzie-niegdzie już się krwią czerwieni.

---

*) 18-go maja 1565 roku.

**) Jan Parisot - de La - Waletta obrany mistrzem zakonu w roku 1557.

Walą się mury, rozsypują głazy,
Dokoła śmierci szerzą się obrazy.

Jak wąż-dusiciel, gdy nagle ujmuje
Słabą ofiarę w śmiertelne objęcia,
Wszystkie jéj członki i wszystkie zagięcia
Pierwéj okoli, i rad wypatruje
Miejsca, gdzie z całą ugodzić ma siłą,
By uściśnienie odrazu zabiło:
Tak wódz niewiernych swym wojskiem okala
Zamek Anioła*) i twierdzę Michała:**)
I co najlepsze swe siły zespala
U bram Sent-Elmo,***) gdzie zbrojna została,
Z wodzem La-Serda, garstka zakonników
By od ścian zamku odbić napastników.

Starzec Mustafa, młodzieńczego serca,
Dobywa twierdzy z fanatycznym szałem;
Łącznie Piali i Dargut-morderca
Ze strony morza szlą strzał wciąż za strzałem.
Długo się broni waleczna załoga,
Każdy z wyspiarzy zmienił się w rycerza:
Lecz ta odwaga tylko jątrzy wroga,

---

*) Przylądek, dawniéj z zamkiem Sent-Angelo, dziś zowie się Il Borgo.

**) Niegdyś warownia San-Mikele, na przylądku La-Sangle, nazwana później Vittoriosa.

***) Sent-Elmo — główna warownia, na przeciwległéj stronie zatoki—zachodniéj.

I w końcu turek do szturmu uderza.
Dotarł, uderzył — i tysiączne strzały
Na oblężonych z zawziętością ciska;
Zamkowe mury krwią mężnych się zlały,
Gotowe same już runąć w zwaliska.
Już przednie szańce do szczętu zniesione,
Biada-ć Sent-Elmo! — dni twe policzone!...

Rycerstwo słabnie i z proźbą o wsparcie
Tajemnie posłów szle do La-Waletty:
Inaczéj — muszą ustąpić, niestety,
Gdyż nieprzyjaciel naciera zażarcie.

— Sam oblężony, ściśnięty dokoła,
Mistrz, broniąc wstępu do zamku Anioła,
Czémże zasili, gdy sam od przemocy
Czeka swéj zguby o każdéj godzinie!
Zamiast więc w broni i w ludziach pomocy,
Taką odpowiedź szle swojéj drużynie:
„Niech walczą! — nie dość jest bronić ołtarze,
Nie dość z rąk wroga ponieść śmierć, męczeństwo:
Powinni umrzeć tak, — jak ja im każę,
Gdyż poprzysięgli ślepe posłuszeństwo!“
— Słyszy wieść taką Sent-Elmska załoga:
Więc znowu wznawia odpór, w imie Boga;
Chwila wysileń: — a z murów i szańców
Rażąc na głowę, wysadza pohańców!...

*

Szerzy się radość między chrześcijany,
Zmniejszona w liczbie, lecz urosła duchem,
Garstka walecznych, znów żywym łańcuchem
Obwija baszty, opasuje ściany.
Lecz wróg odparty nie znosi urazy;
A wciąż szląc strzały ku północnéj wieży,
Coraz to sroższe zadaje jéj razy,
Choć mury twarde, jak piersi rycerzy.
Nakoniec, — nadszedł dzień Jana Chrzciciela:
— Ranna mgła wyspę dokoła zaściela,
Obwija skały, które krwią niesyte,
Zda się, z wrzącego wulkanu dobyte.
Skwar dzienny ciszę morską zapowiada,
Cisza na lądzie, — w tém jęknął dzwon wdali,
I wnet mu setne echo odpowiada:
Rozgłos daleko rozszedł się po fali.
I razem, wszystkich kościołów sklepienia
Odbiły głośne, uroczyste pienia.

W Sent-Elmskich murach, u stopni ołtarzy,
Lud i rycerstwo kornie bije czołem;
A wszyscy zbrojni, radzi umrzeć społem,
Wszystkich jednaki los klęski kojarzy.
Solenne hymny wniebogłoszą wierni,
Błagalne modły płyną przed tron Boga:

W tém, hukły działa zewsząd — znać niewierni
Uroczystości nie chcą uczcić wroga.

Z okropną wrzawą, rozjuszona tłuszcza
Już się podsadza pod mury zamkowe:
Mustafa znowu do szturmu przypuszcza,
Rycerstwo odpór znowu dać gotowe.
Starli się: — walka zawrzała straszliwa,
Z obustron rozpacz szle okropne ciosy;
W rowach pogaństwa uległy się stosy,
Lecz i na wałach obrońców ubywa!

Z morza Piali swoim dopomaga;
Pękają mury, rozsypują ściany;
Słabną krzyżowcy, choć ślepa odwaga
Jeszcze śmierć sieje między muzulmany.
Jeszcze się broni od zguby czy sromu
Zszczuplona garstka: — w tém turcy uderzą
Na mur rozpadły pod północną wieżą,
Już się dostają przez otwór wyłomu:
Chwila, — i zbrojna, rozhukana rzesza
Z wrzawą i groźbą na zamek pospiesza!
Próżna obrona.... Sent-Elmu załoga
Spieszy się ukryć w zamkowéj kaplicy,
Lecz ją dosięga miecz i zemsta wroga!
— Tłumnie wkraczają do Pańskiéj świątnicy

Dzieci proroka, krwi chciwi, zawzięci,
I chrześcijanie — wszyscy w pień wycięci....
Tak padł Sent-Elmo:*) — chorągiew zeń znika,
Już na jéj miejscu — sztandar przeciwnika!

Dójrzał to hasło wielki mistrz zakonu,
Hasło Sent-Elmu zdobycia i skonu;
I rozbolałe serce bohatéra
Bezsilna rozpacz i smutek pożera.
Lecz nie dość na tém; — na domiar swéj złości
Zdobywca pełni szyderstwo tyrańskie:
Wycina piersi jeńcom, bez litości,
I ułożywszy z nich krzyże maltańskie,
Puszcza na wodę te milczące posły,
By o zwycięztwie mistrzowi doniosły!
Na widok krzyża w takiéj poniewierce,
Przejęte bolem rycerstwo truchleje;
I La-Waletty bohatérskie serce
Wytrwać nie może, — mistrz gorzkie łzy leje!...

*

Skupia się liczny zastęp bisurmański,
Jeszcze ostatnia zawada została:

---

*) Przy tym szturmie (24-go czerwca) poległo 500 uzbrojonych wyspiarzy i 123 kawalerów maltańskich; ze strony turków padło do 8,000 — z niemi zginął i Dargut.

Dobyć warowni świętego Michała,
Padnie mistrz wielki, — z nim zakon maltański.

Już okrążana od turków dokoła,
Północno - wschodnia warownia Anioła,
Nieraz na murach miała napastników;
Jedno odwaga mnichów - wojowników
Z wałów i szańców zuchwałych odpiera,
Lecz już z ich wodzów wielu nie dostaje:
Zginął Antonio de - Zanoguerra,
Padł mężny Gwiral, rozproszywszy zgraję,
Po nim dowodzi Frydryk - de Toledo: *)
Teraz więc turcy, za baszy rozkazem,
Pewni, iż łącznie, warowni dobędą,
Na obie twierdze uderzają razem.
Skupiona wrogów straszliwa potęga
Ze wszech stron gromi i w jeden cel godzi;
Lecz La - Waletta swoimi dowodzi,
A jego oręż daleko dosięga!
Gdzie sam się zwróci — śmiertelne szle razy,
Zachęca czynem i mową i wzrokiem;
Gdzie zaś nie zdąży — rozsyła rozkazy,
— I krew niewiernych leje się potokiem.
Jeszcze chwil kilka, jeszcze wysilenie,
I już się chwieją wrogowie rozżarci:
Na stronie chrześcijan tryumf, ocalenie,
Niewierni zewsząd zepchnięci, odparci!

---

*) Syn sycylijskiego Vice - króla Don Garsia de Toledo.

I brzmi Te Deum, dziękczynne, sławione,
Wtórzy mu odgłos w świątyniach przyległych;
Wznoszą się modły — za życia ochronę,
I za współbraci-obrońców poległych.

Noc cicha, strojna lśniących gwiazdek rojem
Nad Maltą zwisła lazurową tonją;
Kilkumiesięcznym utrudzone bojem,
Drzémie żołnierstwo tureckie pod bronią.
Wódz tylko jego nie zna snu, wytchnienia:
Śród późnéj nocy, ukryty w namiocie,
Duma o zmiennym losie oblężenia,
O poniesionéj niedawno sromocie;
I gniewnie targa osiwiałą brodę,
Okrutną zemstę mistrzowi przyrzeka.
Jako należną giaurowi nagrodę;
I znać ta sroga zemsta niedaleka,
Bo w téjże chwili zwołuje na radę
Liczną starszyznę, by obmyśleć plany,
Do ostatecznéj walki z chrześcjany,
I na niechybną zakonu zagładę.
Radzą.... o, biada wam, krzyża rycerze!
Bo nim zabłysną pierwsze dnia promienie;
Macie, wraz z wodzem, wszyscy ledz w ofierze,
Gdyż uradzono: — śmierć wam, — wytępienie!

*

Świta. Nad szybą śródziemnego morza
Mgła się rozsuwa; północny wiatr goni

Falę za falą, po zbudzonéj toni,
Powstaje słońce z zaćmionego łoża,
Lecz go chmur czarnych ociężałe bryły
Nieprzeniknioną zasłoną okryły.
Szybując nisko nad wodną powłoką,
Krzykliwe ptastwo nawalnicę wróży;
Grzmot się rozlega przeciągle, széroko:
Jednak niebaczne na zbliżenie burzy,
Od sycylijskich południowych brzegów
Odchodzą statki, w bojowym szeregu.
Śród wiru burzy, żeglownicy płyną
Na odsiecz Malcie *), u celu już blisko:
Wtém, — wprost przed niémi jakież to zjawisko?
— W miejscu, gdzie Malta, Gozzo i Komino **),
Wybucha wulkan, i dymiąc w oddali,
Rozrzuca ognie po spienionéj fali.

Ten groźny wybuch — dzieło ludzkiéj dłoni:
Dwóch przeciwników śmiertelne pociski;
Któryż z nich zdoła zdobyć laur dla skroni,
Który sromotę, czy śmierci uściski?..
— Wódz muzulmański z uporczywym szałem
Całą potęgą z rycerstwem się mierzy:
Już go okolił śmiercionośnym wałem,

*) Posiłki przybyłe z Sycylii, składały się z 10,000 hiszpanów i 200 kawalerów maltańskich.

**) Wysepki sąsiednie z Maltą.

Gdzież La-Waletta? — w mistrzowskiéj odzieży,
Z dobytym mieczem, otoczon na skale,
Jak duch zniszczenia sieje śmierć dokoła;
Groźny głos wodza w bojowym zapale,
Groźniejszy wyraz wyniosłego czoła.
Twarde żelazo silnéj dłoni słucha,
Lecz stokroć twardsza nią włada moc ducha!

— Z szczuploną garstką, niebaczny na rany,
Zamachy baszy mistrz niszczy, odpiera,
I gdzie dosięgnie oręż bohatera,
Jak ścięte kwiecie walą się turbany.
Lecz czegoż zadrzał? — wzrok miota straszliwy
Na krwawe zgliszcza warowni Anioła:
— Na wieży dójrzał tam sztandar zelżywy,
„Gińcie niewierni!“ — rozpaczliwie woła —
„Bracia rycerze! — za mną, w Imie Boga!“
I z lwią napaścią, szybkością potoku,
Zapamiętały rzuca się na wroga,
Jak pocisk niebios, karzących, wyroku.
Próżno Mustafa przykładem i słowy
Dodaje swoim otuchy, podniety:
Wali pogaństwo, przesadza przez rowy,
Lecz niewstrzymany oręż La-Waletty
Rozrzuca tłumy, i tysiączne jęki
Twierdzą o sprawie śmiercionośnéj ręki!

Jeszcze natarcie, jedno jeszcze mgnienie,
Chwieją się turcy.... nie z takim pociskiem
Sniegowa bryła, ciężąc nad urwiskiem,
Stacza się w przepaść, — jak to uderzenie
Z jakiém mistrz łamie pierzchające szyki:
— „Za mną!“ — okropnym wywołuje głosem —
I wciąż, przed siebie rzucając wzrok dziki,
Oczyszcza drogę śmiertelnym pokosem.

Wróg pierzcha z wałów przez fossy, bezdroża,
By dopaść statków, dociéra do brzegu;
A mistrz go ściga tuż, w sromotnym biegu,
I niszcząc, siekąc, zapędza do morza.
Zgasła na chwilę w nim pochodnia wiary.
Bo się w mściciela zamienił obrońca:
Radby wciąż ścigać, mieć nowe ofiary,
I w krwi się nurzać i niszczyć bez końca!
Rad wszystko zburzyć.... o, w niszczącym boju
Jest jakaś rozkosz rozogniona, dzika,
Jest moc niezłomna w łącznych sił rozwoju,
Dla któréj niemasz zawad, przeciwnika!
Jakaś wszechwładność wznosi, przeistacza,
Tego wybrańca, kim włada Duch Boży;
Człowiek zdwojony, cielesność przekracza,
I półbustwieje, gdy niszczy, — lub tworzy....

*

Jeszcze na gruzach twierdzy wyzwolonéj
Nie zmilkły jęki i krew nie ostygła;
A już na wszystkich punktach wróg zgnieciony,
Pierzcha ku statkom: — strach daje mu skrzydła.
Wkrótce go koniec czeka niedaleki,
Bo chrześciańska przybyła drużyna,
Wylądowawszy już u Citta-Vecchi*),
Resztki niewiernych zatapia, wycina,
I na Sent-Elmo, z zelżenia powstały,
Powiewa sztandar wyzwolenia, chwały.
Jeszcze czas jakiś trwa walka odporna,
Jeszcze Mustafa, cofając się, broni;
Lecz wódz hiszpański, rycerz de la Korna
Gromi go wszędzie i ku morzu goni.
Bój się zakańcza: — pozostałe krocie
Z licznych tysięcy, zaraza wypłasza;
Zgromadza swoich zwyciężony basza,
Mieści na statki, i w spiesznym odwrocie,
Rzucając miejsce niedoli i sromu,
Z ostatkiem wojska żegluje do domu.

---

*) Citta-Vecchia (Civita-notable) położona w południowo-zachodniéj stronie wyspy, jest miejscem wylądowania Ś-go Pawła; tuż przechowują grotę tego Apostoła i katakomby, wedle mniemania jednych — służące schronieniem dla pierwiastkowych chrześcian; wedle innych, za miejsca pogrzebu starożytnym mieszkańcom Malty — fenicyanom.

Coż go tam czeka? — nie chwile spoczynku
Po ciężkich trudach — a lata zgryzoty:
Gniew Sulejmana, na domiar sromoty,
Może jedwabny sznurek w upominku!.
Wié o tém basza, iż go już nie zbawi
Dawna zasługa, ni wielkość tytułu;
By więc wstyd ukryć, nim go dzień osławi,
— W nocy nadciąga pod mury Stambułu!.

*

Dzień Narodzenia Matki Zbawiciela
Jaśnieje Malcie dniem szczęścia, wesela,
Bo wyzwolona od okropnéj klęski,
W tym dniu uświęca swój oręż zwycięzki;
A tryumf chrześcian i w krajach przyległych
Rozszérza sławę mężnych, nieuległych.

Lecz gdzież jest sprawca téj wielkiéj radości?
Przed kim runęła potęga zuchwała?
— Oto, — na zgliszczach warowni Michała
Godnie podnosi sprzymierzeńców - gości:
Dźwięczą weselem skrwawione ruiny,
Ucztuje z bracią mistrz — obrońca wiary;
Dziękczynne usta wielbią wodza czyny,
I krążą gęste w cześć jego puhary.

— Cześć ci waleczny! coś zespolił w parze
Wielkie pomysły i wielkie uczynki;
Cześć ci od swoich; i silni mocarze
Przy pozdrowieniu, szlą ci upominki*).
Cześć wiekopomna i wam, bracia mniejsi,
Coście, śród walki, wzrośli w wielkoludów!
Coście, prócz krzyża szytego na piersi,
Mieli krzyż w sercu — źródło łask i cudów!

Nie długo zażył Waletta pokoju:
Cel jego — wielkość i szczęście Zakonu;
Wznawia więc twierdze, sposobi do boju,
Zakłada miasto**); wtém nagły cios skonu
Poczęte dzieło przecina, niestety!
Zgasł***); — lecz ożywczy geniusz La-Waletty
Jeszcze dwa wieki nad samotną skałą
Promieniał światu potęgą i chwałą.

Dziś, — biedna Malto! — ofiaro wymiany —
Hardy brytańczyk, — przemocą zuchwały,
Zbrojną załogą osiedlił twe wały;
I na ból dawny, i twe świeże rany,

---

*) Po wyzwoleniu Malty od turków, król hiszpański Filip II-gi, przysłał La-Walettcie w podarunku drogocenny miecz, osypany kamieniami; papież Pius V-ty kardynalską mitrę, któréj jednakże godności wielki-mistrz nie przyjął.

**) 28-go Marca 1566 roku, La-Waletta położył pierwszy kamień, mającemu się wznieść miastu, i noszącemu dziś jego nazwisko.

***) Zmarł nagle, w skutek uderzenia słonecznych promieni (Insolatio), 21 Sierpnia 1566 roku.

Ufny w swe działa, przebiegłość i wagi,
Patrzy z uśmiechem pogardy, zniewagi!...

Dzisiaj przybyszu, jeżelić chęć bierze
Podumać nad tą zaszczytną ruiną;
Zwiedź jéj świątynie, pieczary i wieże,
Tam ci zakrystjan za mezzo-schelino*)
Z powagą znawcy, wymową kramarza,
Wszystkie pamiątki nazwie, poobnaża;
I gdybyś zechciał, dla twéj ciekawości
Z grobowców żółte powywleka kości...
Odpędź natręta! — spój w jedno ogniwo
Świetnéj przeszłości te znikome znaki,
Opromień myślą te zbroje, szyszaki;
— Przeszłość wnet wskrześnie i przemówi żywo.
I jeśli w tobie współczucie rozbudzi
Ten żywy obraz, i strunę poruszy,
Jaka ci może podźwięcza wciąż w duszy,
— Wówczas, nie powiesz o życiu tych ludzi,
Co tak zaszczytnie ludzkości służyli,
Znieważające, próżne słówko — byli!

---

*) Pół szillinga angielskiego — stanowi 1 złp.

Z PORTU DO PORTU.

Ciepły, pogodny ranek kwietniowy
Rozświetlonémi patrzy oczyma;
Okręt do dalszéj drogi gotowy,
Bezczynne długo, żagle rozdyma.
Już się wysuwa z portowéj cieśni:
Żegnam cię Malto! — choć w obcéj mowie
Przyjm za gościnność podźwięk méj pieśni,
Niech ci on wdzięczność moją wypowie!
— Jeszcze chwil kilka, i lądu wstęga
Mieniąc kolory, coraz się zcienia:
Znowu-m w krainie osamotnienia,
Znowu się w duszy tęskność wylęga!
Ni ją rozświetla niebo pogodne,
Ani ją płoszą cacka-nadzieje,
Ni ją usypia morze łagodne,
Co tak uroczo wkoło sinieje.
— Ponętna cisza; — niebo słoneczne
Jakby muślinu siatką przesnute,

Chmurki, jak róże, z srebra wykute,
Wiszą bez ruchu, zda się, — odwieczne.
A wód powierzchnia tak się uśmiécha,
Tak się w pieściwe stacza wygięcia,
Tak lśniącą piersią wabnie oddycha,
Że chęć się zradza, — paść w te objęcia;
Przez te ruchome płasty błękitu
Zstąpić do świata wodnych tajemnic;
I w jednéj chwili zerwać nić bytu,
By już nie wracać z bezdennych ciemnic;
W tym bezgranicznym uledz się grobie,
Zdala od lądu, od stron kochanych;
By nie zostawiać smutku po sobie,
Ni łez, ni westchnień, — może kłamanych....
Lub, — gdyby można prześnić tak wieki,
Na fałdach tego lśniącego łoża;
I nie odrywać nigdy powieki
Od wyżyn nieba, od głębin morza!

*

Wschodni wiatr dmie stale, długo,
I widnokrąg, wraz z żeglugą
Każdodziennie się odmienia:
W ubielonym swym warkoczu,
Etna dawno znikła z oczu;
Już grenadskich gór spiętrzenia

Z wyżyn trupiém świecą licem,
Tętnem życia tchną u dołu;
Szybko mija szkic za szkicem,
Brzegi bliżą się pospołu,
Lecz je dzieli wodna ścieżka,
Skała zbrojna, niebotyczna,
I nienawiść fanatyczna
Tego ludu, co tu mieszka.
— Z gibraltarskiéj cieśni łoża
Okręt sili się wywinąć;
Już się wymknął na rozdroża
Trzech strón świata, — dokąd płynąć?
— Bezgraniczna przestrzeń wodna,
Droga wszeż i wzdłuż swobodna:
Lecz przynagla cel podróży:
Więc na północ! — wiatr niech służy!

Naprzód! — żagiel pierś wypręża,
Afrykański brzeg się zwęża:
Dawno Tanger wyminiony,
I Trafalgar ów, wsławiony;
W przodzie wiater mgłę rozgarnia,
I wynuża wód lazury:
W dali morska lśni latarnia,
Za latarnią — białe mury.

Bywają sny niekiedy tak żywe i błogie,
Iż długo i na jawie nie tracą uroku;
Bywają i wspomnienia tak rzadkie a drogie,
Że je czas nie zaciéra nigdy w swym pomroku:
Kadyksie! — jesteś dla mnie tém senném widzeniem,
O jakiém niegdyś śniła moja młoda głowa:
Odpłynę, lecz szczęśliwy uroczém wspomnieniem,
Które w duszy nazawsze święcie się dochowa.
O luba kastyljanko! — wyszukany kwiecie
W najpyszniejszym kwietniku andaluzskiéj ziemi:
Nie napróżno wędrowiec, tułam się po świecie,
Jeśli traf mi cię wskazał pomiędzy innemi,
Piękną i czarującą: — o pamiętna chwilą
W któréj ciebie spotkałem, w któréj twe wejrzenie
Przykuło mię na miejscu, a pod twą mantylą
Drgnęło serce przychylne, — wszak to nie złudzenie
Gdym pod cieniem kasztanów, śród pienia słowików,
Tulił do drżącéj piersi twoją twarz płonącą!
Gdy z twojéj białéj skroni spadł wieniec goździków
I dójrzałem w twém oku tę iskrę tlejącą,
Z któréj lub się roznieca rozpacz i zaguba,
Lub płomyk życiodajny co świeci i ciepli;
— O, wzrok twój mię odrodził, — dzięki ci, o luba!
Może mego żywota droga się wyświetli....

*

Cudnie wieczór majowy swój sztandar rozpina:
Odcienie farb złocistych ściera tło błękitu;
Zmrok zapadł, gwiazd miliony błysły u zenitu,
Śród ulic ruch się budzi: miasto żyć zaczyna.

Ileż się tu, śród zgiełku, przesuwa kibici,
Powiewnych, ledwie stopą trącających bruku,
Wiotkich i elastycznych, jak cięciwa łuku,
Namiętnych, gdy szalony je taniec pochwyci! *)
Ile tu świéci oczu ponętnych, miłośnych,
Powiewa abanico**), miotających czary!
Ile śpiewek tu krąży, przy brzęku gitary,
Ile westchnień się rodzi i śmiechów roznośnych!

— Lecz usuńmy się droga, z téj wirowéj toni,
Miłéj tylko dla oka, lecz obcéj dla duszy;
Tutaj, na alameda***) nadbrzeżnéj ustroni
Nic rozmowy serc naszych gwarem nie zagłuszy.
Innéj nad tę, prowadzić nie możem rozmowy:
Lecz na cóż nam wyrazy, gdy serce drogmanem!
Gdybym mógł ci me szczęście wypowiedzieć słowy,

---

*) Najcharakterystyczniejszemi z tańców hiszpańskich są: bolero, ole, aragonesa, segidilia i fandango.

**) Abanico — wachlarz, za pomocą którego hiszpanki umieją prowadzić najwymówniejszą rozmowę.

***) Alameda — miejsce przechadzki.

Może byłbym mniéj szczérym i mniéj zrozumianym.
I cożbym ci powiedział? — że dziwnie nadobna
Mogłabyś dla artysty służyć pierwowzorem:
Prostotą i szczérością żeś nic niepodobna
Do wielu z owych kobiet, z światowym polorem:
Których życia zadaniem — nie być nigdy sobą,
Grać zawsze jakąś ckliwą, zpowszedniałą rolę;
I zamiast być ludzkości oporą, ozdobą,
— Wciąż krążyć, jak wiewiórka po drócianém kole!
Których próżność istotna i udana godność
Z najchlubniejszych pierwiastków rodowéj puścizny
Stwarza serca rozchwianie i myśli niepłodność.
A występne wyjawy wewnętrznéj zgnilizny
Chce zawsze niewinności płaszczykiem osłonić.
— Hiszpanko! o, nie takąś: gdy jesteś cnotliwą
Potrafisz heroicznie twojéj cnoty bronić;
Możesz zostać występną, — lecz nigdy kłamliwą....

— A czyliżeś występna, o luba istoto,
Że mi życie rozświetlasz pochodnią miłości?
Możem ja godzien kary, iż sięgnąłem po to,
Czego-m szukał napróżno od pierwszéj młodości:
Serca, którém pogardzać liczyłbym za zbrodnię,
Którego rdzawych sprężyn zgadnąćbym nie umiał;
— Ach, zszedł mi czas na próbach, śród ludzi bezpłodnie:
Bo mię pojąć nie chcieli, — jam ich nie rozumiał.

*

Jak drzémie oceanu zwierciadlana smuga!
Nieruchoma, bezbrzeżna! tylko tam, na prawo,
Puerto Santa-Marja ognikami mruga,
W lewo, morska latarnia przyświéca jaskrawo.
Zbudzić ciszy uroczéj nic się nie ośmiela:
Spi fala, przytulona do płaskich wybrzeży;
Anito! nasze szczęście natura podziela,
Czy może ci hołduje, — gdyż hołd ci należy....

Święć się więc nocy błoga i trwaj bezustanku,
Niech twe coraz ciemniejsze zapadają cienie:
Niech już nigdy nie ujrzę jutrzenki poranku,
— Mam światło przewodnicze — méj lubéj wejrzenie!
Niech nie widzę przyszłości, gdy obecna chwila
Tak się słodko uśmiécha, czaruje i łudzi,
Niech marzę, jak lunatyk, co w przepaść się schyla,
Któż go nazwie, by zgubić? — kto ze snu mię zbudzi?
Kto? — a któż to swe siły, pomysły, poczucia,
Strwonił marnie, bez celu, nie żałując straty;
Kto, błądząc rozpaczliwie po drodze zepsucia,
Rozrzucił co najświeższe, najwonniejsze kwiaty?
Kto jątrzył bez litości te rany najkrwawsze,
Jakie serce przetrwało, które pamięć chowa?
— Ja sam! ach, sam wróg własny! — w téj chwili jak zawsze,
Budzę się z lunatyzmu! — Anito! — bądź zdrowa....

Po ślizkiéj drodze, mrzącéj się ruchawo
Okręt i skacze i goni:
Jakiż to ląd tam, szarzeje na prawo?
— Wszak to już brzegi Bretonji!

Nie pomnę czasu, — a długim był przecie —
Ni oceanu wymiarów;
Bo żyłem w innym, ponadwodnym świecie,
Śród upojenia i czarów!

Teraz, z tych granic straconego raju
Ku jakiéj dążę krainie?
W tyle została zatoka Biskaju
Okręt na wązkiéj drożynie,

Przez którą sąsiad sąsiada zawistnie
Bada, i czujność natęża;
Zda się iż szczérze dłoń podaną ciśnie,
Lecz nie wypuszcza oręża.

Z którym że mamy witać się narodem?
Rudlem na lewo! — i w biegu,
Okręt na prawo zatacza się przodem,
Chwila, — już stoim u brzegu.

Góra nad górą warownią się stroi:
Zginął, kto wrogiem tu wpadnie;

Gdyż ów mąż - rycerz, czyj posąg tu stoi,
Z wniesioną ręką bezwładnie*),

W Szerburgu wznowić miał Egiptu dziwy
Ku dobru kraju i chwale;
By się nie ważył tu sąsiad złośliwy
Postąpić kroku zuchwale.

— Spieszmy ku miastu; lecz lepiéj za miasto,
Skąd woń roślinna powiewa,
Gdzie smutna jodła swą tarczą iglastą
Strome urwiska odziewa.

Tam na ustroniu, śród gajów zielonych,
Przy znanem brzęku owadów;
Pomarzym chwilkę, o chwilach minionych,
Nim znowu dotkniem pokładu.

*

Lipcowe słońce skwarem cięższeje,
Cisza nadwodna znoju przyczynia:

---

*) Konny posąg Napoleona I-go, z napisem na podstawie:

J'avais résolu de renouveler
à Chérbourg les merveilles
de l'Egygte.

Mglisty brzég Francyi w tyle szarzeje,
Przedemną znowu morska pystynia.
Rozpięte żagle wiszą ponuro,
Okręt, jak biała, śród stepu wieża,
Olśniona blaskiem w dole, i górą
Troisty szczyt swój wzniośle najerza.
Wszystko dokoła senne, bez ruchu,
Więzione tamą do nieprzebycia,
Czeka zbawczego wiatru podmuchu,
By wyjść z letargu, wrócić do życia.
Czeka, a zdala, w stronie zachodniéj
Łuszczy się, wzdyma wodna rozłoga:
Zdążym więc daléj płynąć swobodnie,
Gdyż wiatr posłuszny, i znana droga,

Droga niedługa, i meta bliska;
— A więc cię żegnam bratni żywiole:
Twoje rażące, groźne zjawiska,
Twoje pieszczoty, twoje swywole!
Może już nigdy los mi nie zdarzy
Podziwiać twoje szały i wdzięki;
Niech cię więc żegna, chlubo żeglarzy,
Ostatni podźwięk mojéj piosenki!
Na twoich falach tyle przeżyłem,
Śród nich i treść téj pieśni usnuta;
Na nich wspomnienia drogie złożyłem,
— Tobie-ć ostatnia należy nuta,
Nuta pośpiewna; — czyż kiedy jeszcze

Zapełnię próżnię życia żeglugą?
Czy na twych barkach znów się popieszczę,
Czy cię pożegnać muszę na długo?
Może mię smutek, drogami twemi
Kiedyś w najdzikszą zapędzi stronę:
— Bo cóż mam jeszcze tracić na ziemi,
Jeśli już wszystko prawie stracone!?

NA LĄDZIE.

Ludno i gwarno: — a więc już na lądzie
Stanąłem stopą smutnego tułacza;
Czuję się płynąć znów po znanym prądzie,
Czemuż mię zewsząd samotność otacza?
Samotność, mówię? — nigdym nie samotny! —
Mam towarzyszkę najstalszą, niezmienną,
Co mi zasnuwa cień szczęścia przelotny,
Co mi zacienia każdą myśl promienną:
Wszędzie i zawsze za mną się posuwa,
Po wszystkich ścieżkach wije się żywota;
I każdą radość niweczy, zatruwa,
— Mój nieodstępny sobowtór - tęsknota!..

Napróżno pędzę w oddalone strony,
Ona, jak chmura, wciąż za mną się wlecze;
Próżno i w domu szukałbym ochrony:
— Bo któż od siebie samego ucieczе?
Od ujścia Donu do Guadalkwiwiru,

Od wód Sekwany do północnéj Dźwiny;
We wszystkich drogach życiowego wiru.
Ten nierozłączny mój spólnik jedyny
Zawsze ach, zemną; — ta smętność ponura
Zawsze mi zdwaja smutki i cierpienia,
Nią się powleka majowa natura,
Przez nią się płoszą najsłodsze złudzenia:

— Niech dójrzy radość na strudzoném czole,
Zaraz ją ściéra i niszczy z pośpiechem,
Budzi zwątpienia, przypomina bole,
I usta skrzywia szyderczym uśmiechem!
I dotąd dręczy, aż wszystko wypleni,
Co się zalęgło w duszy niebios darem;
Aż wszystko chłodem ostudzi, skamieni
I tylko życie zostawi, — ciężarem!

Niech w piersi spokój na chwilę zagości,
Wnet go wytrąca gorączkową trwogą;
Potarga siły, — w końcu, bez litości
Pędzi do zguby zmysłowości drogą....

Niech pieśń się ozwie — pieśń usiłująca
Otrząść, podzignąć z bezczynności błota;
Wskróś ją przesnuje, zawsze czuwająca,
Ta despotyczna władczyni - tęsknota!!

Jakże się wszczepił ten poród ukryty?
Kiedyż to widmo przepadnie z przed oczu?

— Począł go, wzrościł szereg lat przeżyty:
Uschnie wraz z życiem, — w mogilnym pomroczu....

*

Nad stepów ukraińskich nieprzejrzaném morzem
Ciągnie bocian skwapliwie powietrznem bezdrożem;
Skierował na Podole, — znać znana mu strona,
Znać go nęci zdaleka strzecha ulubiona:
Wczesna wiosna go wita, — już zawisł nad domem;
I, z krzykiem rozpaczliwym, gdzieś znikł nad poziomem!
Czy zginął? — Nie! — samotny na bagnisku stoi:
Znać mu życie nie miłe, strzału się nie boi;
Miał się ogrzać, wypocząć, — a tu ziemia skrzepła,
Nie znalazł, co najmilsze, — ni gniazda, ni ciepła!

— My swoi, biedny ptaku!... wspólna nasza dola:
Kiedyś nas wykarmiło powietrze Podola,
Dziś!... Ach, blizcy: — dziś do was wyciągam me dłonie,
Ogrzéjcie mię tém ciepłem, za jakiém wciąż gonię!!
Wszakżem waszym cierpieniom cielesnéj niemocy
Tylekroć niósł posiłek pociechy, pomocy!
Za was z śmiercią wciąż walczę, — a z sobą nie mogę!
Odwdzięczcież!.... Próżno wzywać, — bo tę boleść srogę,
Któréj niemasz poznaków, przyczyn i nazwiska,
Mogąż kiedy utulić ci dobrzy ludziska.

Których każdy niezwykły głos razi i dziwi,
Którzy są tak spokojni, — tak łatwo szczęśliwi?...

Wyżéj więc duchem, i korniéj czołem!
Bo światem rządzi Ktoś niepojęty:
Głowy posypmy ojców popiołem,
A wówczas zstąpi na nas Duch Święty!
On opromieni życie cierpiące,
Znów wybujamy, jak krzew po wiośnie;
I gdy się zmienim w prochy tlejące,
— Z prochów latorośl żywa urośnie!...

SPIS RZECZY.

Z pierwszej podróży morskiéj:

Z drugiéj podróży morskiéj: